

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 3 lipca 1949 r.

Nr 27 (206)

W NUMERZE

między innymi:

„O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii“

T. Kubiak — wiersz

J. Szczepański — O orientację w rozwoju kultury na wsi

S. Ignar — Zmiana ustroju w rolnictwie

P. Wyrobek — W Roku Mickiewicza

W. Leopoldowa — O naukę i prawdę

J. Iwanowska — Szkodliwa popularyzacja

W. Ozga — Budownictwo szkół wiejskich

J. Witowska — Pamiętnik służącej

S. Cieślak — U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie

W. Jażdżyński — Życiorysy górników

J. Pogan — „Krytyka miłująca... wrogów“

Witold Łukaszewicz

Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku



Portret Engelsa z okresu 1843 r.

W kwietniowym numerze poznańskiego „Roku 1846”, najważniejszego organu prasowego krajowego centralnego ośrodka ruchu narodowo-wyzwoleńczego, inspirowanego i kierowanego przez emigracyjne Towarzystwo Demokratyczne Polskie, ukazała się obejmująca aż 32 strony recenzja książki Fryderyka Engelsa: „Die Lage der arbeitenden Klasse in England”, książka, która wyszła spod prasy w czerwcu 1845 r. w Lipsku. Autorem tej najwcześniejszej polskiej recenzji pierwszej większej pracy młodego Engelsa był według wszelkiego dowodowego prawdopodobieństwa Wincenty Mazurkiewicz, szwagier Ludwika Mierosławskiego, emigrant-rewolucjonista, wybitny emisariusz, wreszcie członek Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego w najważniejszej fazie jego działania, to jest w latach 1846–1848, w fazie największego nasilenia rewolucyjnego na ziemiach polskich.

Sama recenzja nie stanowiłaby żadnego ciosu, gdyby nie jej duch wybitnie życzący dla wywołów Engelsa i gdyby nie czas, w którym się ona ukazała na czołowych kolumnach ostatniego numeru „Roku”, na który pruska cenzura wypisała wyrok śmierci. Recenzja książki Engelsa zamykała ciągnącą się na łamach „Roku” od 1843 do 1846 problematykę socjalistyczną, stanowiła przejście od rozważań nad różnymi doktrynami utopijnymi socjalistycznymi — komunistycznymi do socjalizmu naukowego w jego początkowej, nieukończonych jeszcze całkowicie we wszystkich szczegółach, ale już wyraźnie zarysowanej postaci — do materialistycznego pojmowania dziejów.

Ala recenzja książki Engelsa zamykała też ważną fazę polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego o szerokim programie wewnętrznej przebudowy społecznej — powstania 1846 r. na ziemiach polskich — stanowiącego pierwszą fazę rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, która usiłowała rozwiązać podstawowy problem warunkujący jej nasilenie i powodzenie — problem agrarny. Wiemy, że rozwiązała go tylko na papierze — w pamiętnych słowach Manifestu Rządu Narodowego z dnia 22 lutego 1846 r., który wskutek załamania się powstania nie wszedł w życie i nie zdołał rozszerzyć ludowej bazy polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Recenzja książki Engelsa, napisana przez Wincentego Mazurkiewicza tuż po upadku ostatniej reduty ruchu 1846 — Krakowa, ma swoją głębszą wymowę, bo pośrednio — przez solidaryzowanie się recenzenta z wywodami autora książki sięga do podstawowego problemu rewolucyjnego — określenia głównej siły napędowej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji oraz jej przetrwania w rewolucję socjalistyczną. Rzecz zrozumiała, że dla lat czterdziestych XIX w. przy uwzględnieniu ówczesnej struktury agrarnej i przemysłowej w trzech zaborach zagadnienie podstawowej siły napędowej dla ówczesnego polskiego ruchu rewolucyjnego sprowadzało się do „agrarniej demokracji” — do chłopskiej rewolucyjnej drogi w walce przeciw patriarchalno-feudalnemu absolutyzmowi.

Ta właśnie rewolucyjna chłopska droga była głównym przedmiotem walki ideologicznej na emigracji, a za jej sprawą w kraju, w dobie Przedwiośnia i Wiosny Ludów (1831–1849), tzn. w dobie wzmocnionych ruchów narodowo-wyzwoleńczych związanych z narastaniem kapitalizmu i zachodzącymi w związku z tym zmianami w stosunkach produkcji na wsi i w mieście, Emigracja polska na Zachodzie — ta główna sprawczyń powstania 1830–31 r. — rewolucji, która według Engelsa nie była „rewolucją narodową ani też rewolucją społeczną lub polityczną”, lecz „rewolucją konserwatywną” wyrosła z egoizmu i ograniczonej politycznej szlachty, emigracja ta podjęła na tutejsze namietną dyskusję na temat odpowiedzialności historycznej za upadek Polski i ostatniego powstania. Wśród „potępiących swarów” dokonywał się proces formowania się obozów emigracyjnych i ich programów niepodległościowych. Emigracja, w trzech czwartych swego pochodzenia społecznie szlachecka, w jednej czwartej mieszczańska i chłopska, musiała przede wszystkim ustawić się do podstawowego problemu, którego ostrość uwypukliło „konserwatywne” powstanie 1830–31 r., do problemu agrarnego i związanych z nim konsekwencji gospodarczych, społecznych i politycznych w wypadku jego powstania i rozwiązania.

Czartoryscy — prawica emigracyjna — grupująca emigracyjną szlachtę folwarczną i jej krajowych sojuszników wśród latyfundiarnych feudalów w trzech zaborach — wypowiadali się za utrzymaniem wielkiej własności rolnej. Problem usamowolnienia, uwłaszczenia i uobywatelenia chłopów odkładali „na lepsze czasy” wysuwając na plan pierwszy zabiegi dyplomatyczne i licząc na konflikty między monarchiami konstytucyjnymi Zachodu (Francja, Anglia) a Św. Przymierzem, które miały wskrzesić Polskę, Polskę z patriarchalno-feudalnym ustrojem agrarnym, Polskę nieuszczerpionych latyfundiów i w najgorszym już razie oczyszczonych chłopów. Ta „dyplomatyczna” droga do niepodległości Polski omijająca początkowo nawet rewolucję polityczną wyprutą z wszelkiej problematyki społecznej nie groziła chłopską żakerią, prawem agrarnym, babuizmem, komunizmem ewangelicznym itd., godzącymi w wielkopolski folwark. Wiemy dobrze, dokąd zaprowadziła czartoryszczyków ich „niepodległościowa” droga w pierwszym dziesięcioleciu emigracji, w każdym razie nie zaprowadziła ich do Polski, ale na peryferie walk dynastycznych: do Portugalii, Hiszpanii, Egiptu; zamiast zbliżyć, oddaliła od kraju emigracyjnych książąt, hrabiów, baronów, karmazynów i czepiających się ich polu podupadłych szlacheckich inteligentów — doktrynerów. Adam Czartoryski, opromieniony częstochowską początkową księdzą Praniewicza i sofistycznymi wywodami genealogicznymi Woronicza, został „królem de facto” — Adamem I w Hotelu Lambert na wyspie Św. Ludwika w Paryżu. Trzeba było „dyplomatyczną” różdżką odrzucić precz, chwycić się innej formuły agitacyjnej w marszu żółtym do Polski: Hotel Lambert wywiesił w latach 1838–39 sztandar insurekcji — powstania, jaśniepańskiego powstania na ziemiach polskich. Monarchistyczna insurekcja z Konstytucją 3 Maja w reku folwarcznego „rewolucyjnego” — dziedzica! Kraj nie mógł pójść na taką rewolucję, na drugą „konserwatywną rewolucję” — na przedłużenie patriarchalno-feudalnego absolutyzmu. Kraj znalazł się niepodzielnie pod wpływami emigracyjnego obozu demokratycznego, obozu, który pchał go na tory kapitalistycznego rozwoju i walkę o wyzwolenie narodowe zespalał z wewnętrzną przebudową społeczną mającą lepiej odpowiadać zmieniającym się stosunkom produkcji na ziemiach polskich.

Oboz demokratyczny — to przeciwnicy patriarchalno-feudalnego status quo w kraju, to szermierze burżuazyjno-demokratycznej rewolucji, to zapaleni rzecznicy rozszerzenia bazy ludowej tej rewolucji. Ale oboz to niejednolity pod względem ideologicznym, co uwarunkowane było jego strukturą klasową. Stanowili ten oboz: 1) leleweliści (stronicy Joachima Lelewela), 2) Towarzystwo Demokratyczne Polskie, 3) Lud Polski z Gromadami „Grudzią” i „Humań” na ziemi angielskiej. Społecznie przedstawia się ów oboz na emigracji następująco: średnia i drobna szlachta, sproletaryzowana inteligencja szlachecka i drobniomieszczańska, wreszcie chłop — żołnierz. Leleweliści — to w przeważającej liczbie średnioszlacheccy demokraci, niepublicznie z nieznaczna domieszka szlacheckiej i mieszczańskiej inteligencji radykalnej. Towarzystwo Demokratyczne Polskie — to w ogromnej większości drobni-szlacheccy i drobniomieszczańscy „ludowcy” oraz kilku załadowych chłopskich inteligentów. Lud Polski — to w swej masie chłop pańszczyźniany — żołnierz, którzy przeszli kartę pruską w Grudziądzu i innych twierdzeniach. Kieruje Ludem Polskim garstka drobni-szlacheckich i drobniomieszczańskich inteligentów karbonarów oraz jeden czerwony hrabia — Worcell. Lud Polski i skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego tworzą plebejskie, najbardziej rewolucyjne ugrupowanie w obozie demokratycznym, ugrupowanie stojące na gruncie „agrarniej rewolucji” — chłopskiej demokracji, zmierzające do likwidacji własności obszarnej i do przekazania jej we wspólne — „gminne” — władanie masy chłopskiej, wyzwolonej z pęt poddaństwa i pańszczyzny, usamowolnionej i pełnoprawnej politycznie. U podstaw rewolucyjnego programu wewnętrznej przebudowy społecznej, postawionej na pierwszym miejscu w ruchu narodowo-wyzwoleńczym, Lud Polski kładł zasadę „wspólnej dla wszystkich ziemi i jej owoców” zapożyczoną od francuskich karbonarów — babuistów. Tak wyglądał utopijny komunizm agrarny Ludu Polskiego.

Jak ustosunkowały się dwa pozostałe odłamy obozu demokratycznego na emigracji do podstawowego problemu walki narodowo-wyzwoleńczej — do sprawy agrarnej i wiążącego się z nią nierozdzielnie zagadnienia rozszerzenia bazy społecznej przyszłego powstania? Szlachecy demokraci spod znaku Lelewela szli na rewolucję polityczną, w której rolę kierowniczą miała odegrać średnia i drobna szlachta oraz związana z nią klasowym pochodzeniem postępową inteligencją; lud zaś pod przewodnictwem tej rewolucyjnej szlachty byłby przeludowym taranem w jej reku. Po odzyskaniu niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych Polska stałaby się państwem z nową strukturą rolną opartą na kapitalistycznym gospodarstwie folwarcznym i silnym gospodarstwie chłopskim, wolnym od wszelkich ciężarów popańszczyźnianych. Sam zaś proces przeobrażenia feudalnego gospodarstwa obszarowego w kapitalistyczne odbywałby się bez gwałtownych wstrząsów na drodze odgórnym — parlamentarnym uchwał przedstawicielstwa ogólnonarodowego. Była to droga unikania za wszelką cenę rewolucji agrarnej, droga wytężona klasowym interesem zmierzająca do zachowania przodującej pozycji ekonomicznej i politycznej szlachty w społeczeństwie polskim. W lelewelistycznym programie wewnętrznej przebudowy społecznej interesy klasy szlacheckiej górowały wyraźnie nad plebejskimi, chociaż były ukryte pod atrakcyjną pseudoludową propagandą broszurową, prasową i słowną.

Najbardziej zwarte, karne i konsekwentne w realizowaniu nakreślonego sobie po kilkuletniej wewnętrzno-organizacyjnej dyskusji ideologicznej programu niepodległościowego było Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Wyszło ono na czoło tego programu słynne hasło: „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud”. Wypowiadało się za uwłaszczeniem bezwarunkowym chłopów, użytkownika na ziemi pańskiej, ale pozostawiało na pastwę losu proletariatu wiejski, nie znosiło folwarków szlacheckich, nie likwidowało magnackich latyfundiów, odstępowało się od komunizmu agrarnego, wyklinało jego zwolenników i usuwało ze swoich szeregów. Apelowało do dwudziestomilionowej masy chłopskiej, poręczało nadanie jej pełnych praw politycznych. Przyszła Polska, demokratyczno-republikańska, z przewagą elementu chłopskiego i drobniomieszczańskiego w życiu politycznym, opierała na drobnych posiadaczach; chciała ograniczyć wyzysk człowieka przez człowieka, ale nie kładła tamy kapitalizmowi, przeciwnie, ułatwiała jego rozwój na wsi i mieście przez utrzymanie kapitalistycznego folwarku i popieranie bez ograniczeń kapitalistycznej produkcji przemysłowej. Idealnym społecznym Towarzystwa był chłop-posiadacz i rzemieślnik uświadomieni politycznie i przywiązani do polskości. Poza nawiasem tego ideału społecznego znalazły się resztki proletariatu na wsi i w miastach, ludzie bez własności — „doby społeczne”. Droga do tak pojętej przebudowy społeczno-gospodarczej przyszłej Polski nie była mimo pomstowania na szlachtę i straszenia jej zubożeniem przez Towarzystwo w wypadku, gdyby ośmieliła się ona odrzucić jego program społeczny ruchu narodowo-wyzwoleńczego, drogą plebejską, drogą agrarną demokracji.

Edward Dembowski 1822 — 1846
Rysunek ołówkowy Aleksandra Karpińskiego ze współcz. dagerotypu

Ze osłoną pozornie antyszlachecką zarysowywała się wyraźna linia kompromisu z klasą historycznie uprzywilejowaną, linia ugody ze szlachtą, pojawiała się zgorzkniała, rytmu stanów w miejsce walki klasowej. Tylko skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego i to nie zespołowo, lecz indywidualnie, wypowiadała się za plebejską, rewolucyjną drogą w rozwiązaniu problemu agrarnego: za nacjonalizacją ziemi, za Polską chłopską demokracją.

Z takimi programami społeczno-politycznymi prezentowały się krajowi obozy emigracyjne: czartoryszczyzna monarchistyczno-konstytucyjno-jaśniepańska oraz trzy odłamy obozu demokratycznego: leleweliści, Towarzystwo Demokratyczne i Lud Polski, przenosząc na ziemi polskie swoje spory idea-

logiczne i antagonizmy organizacyjne. Kraj w latach 1832—1846 znalazł się pod najsilniejszym obstrzałem emisarii emigracyjnej, ulegał jej propagandzie, wiązały się oczka siatki spiskowej. Grunt do spiskowania nie dla wszystkich obozów był jednakowo przystępny. Jego podatność uwarunkowana była przede wszystkim charakterem programu społecznego i bazą klasową, na której przeniesiona z emigracji konspiracja zamierzała się rozwijać. W każdym zaborze ta baza klasowa była swoista, co wynikało ze specyficznego układu stosunków społeczno-ekonomicznych na wsł i w mieście. Najbardziej odmienne warunki dla konspiracji powstańczej istniały w zaborze pruskim, najcięższe w rosyjskim.

KONSPIRACJA KRAJOWA W LATACH 1832 — 1846

Jako pierwsi wyruszyli na podbój ideologiczny kraju i omotali go siatką konspiracyjną na lat siedem (1832—1839) leleweliści, kierując Ręczpospolitą Krakowską i Galicję za główne bazy ogólnopolskiego powstania przeciw trzem zaborcom: Rosji, Austrii i Prusom. Płk. Józef Zaliwski wypaczył plan powstańcy Lelewela i jego rewolucyjnego sztabu — „Zemstę Ludu”, nadając robotniczy charakter wyłącznie antyrosyjski. Wyprawa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego w marcu 1833 r. zakończyła się żałośnie, rezultat był żaden, ofiary ciężkie. Jedynym pozytywnym dla przyszłości ruchu rewolucyjnego w kraju wynikiem akcji Zaliwskiego było rozszerzenie się w Galicji i Krakowie za sprawą partyzantów emigracyjnych karbończyków czyli węglarstwa, w którym brzmiała silnie nuta babuistyczna — utopijne komunizmu agrarnego. Przeraził on galicyjskich szlacheckich demokratów i odepchnął od partyzantki Zaliwskiego, ba, zraził ich nawet zupełnie nielubianego do samego Lelewela, który babuizmowi nie miał zamiaru propagować nawet na emigracji. Karbończyk partyzanci (Michał Chodźko, Borkowski, Bobiński) pogrzebali swym radykalizmem społecznym pierwszy wypadek do kraju Lelewela, ale nie zrazili go tym bynajmniej do dalszego rewolucyjnego działania. Baza społeczna tego działania miała pozostać niezmienną: średnia i drobna szlachta, wyszła z jej szeregow postępową inteligencją, a przede wszystkim gmin szlachecki w administracji folwarcznej. W latach 1835—6 emisariusze Lelewela założyli zresztą pierwszy ogólnopolskiej konspiracji demokratyczno-republikańskiej — Stowarzyszenia Ludu Polskiego, którego krajowy ośrodek dyspozycji znajdował się najpierw w Krakowie, potem we Lwowie, Program społeczno-polityczny Stowarzyszenia był umiarkowany, obliczony na zjednanie poparcia wpływowej, zamożniejszej szlachty, kleru i bogatszego mieszczaństwa. Kadry konspiracji o kilku szczeblach tajemniczo tworzyła przeważnie szlachecka i mieszczańska inteligencja oraz młodzież akademicka. Konspiracja lelewelistyczna, obliczona od razu na długie działanie propagandowe, przygotowane, umocniła się w Warszawie, sięgała przez Konarskiego Szymona na Litwę i Ruś, zapuściła macki w Poznańskie, słowem owładnęła krajem, ale mimo to ulegała rozkładowi, zanim została częściowo wytopiona i zlikwidowana przez carską i austriacką policję. Rozkład Stowarzyszenia zapoczątkowała wewnętrzna dyspersja skrajnie radykalnych elementów spiskowych, głoszących zagładę szlacheccy i związanych przez Adolfa Zaleskiego z Gromadami Ludu Polskiego w Anglii. Była to tzw. Konfederacja Powszechna Narodu Polskiego, złożona z zapalnej młodzieży szlacheckiej, głównie akademików. Żył jej był krótki, ale mimo to wpłynął na radykalizację lelewelistycznej konspiracji. W roku 1833 spadły na Stowarzyszenie Ludu Polskiego ciężkie ciosy: likwidacja siatki spiskowej Konarskiego i warszawskich „Świętokrzyżców” przez carską policję, rozbiście Zboru Głównego (kierownictwa Stowarzyszenia) we Lwowie wskutek aresztowań. Demokracja szlachecka lelewelistycznej proweniencji uległa rozgromieniu w kraju, zanim zdolała podjąć otwarty bój z zaborcami. Od pogromu ocalała Poznańskie.

Na gruzach lelewelistycznej konspiracji krajowej zaczęło budować nową według własnych planów i zasad ideologicznych Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Z polecenia jego kierownictwa przybyli do kraju w roku 1839 dwaj najzdolniejsi emisariusze Centralizacji: Walery Breański do Poznańskiego i Wincenty Mazurkiewicz do Królestwa Polskiego. Mieli oni za zadanie wybadanie terenu i skupienie rozbitych ogniów lelewelistycznych przy Towarzystwie Demokratycznym. Mazurkiewicz, wyszukany do tej emisarii przez najcięższego ideologa Towarzystwa Wiktora Helmana, należał do skrajnej lewicy demokratycznej. Wyznał on agrarny komunizm w interpretacji swych kolegów karbończyków z Ludu Polskiego, z którymi wiązała go rewolucyjna działalność w węglarskim Namiocie Narodowym Polskim. Urodzony w r. 1813 należał do najmłodszego pokolenia powstańców — emigrantów. Na tułactwie dokształcał się pilnie, uczęszczając na uniwersytet w Paryżu, na którym studiował prawo i ekonomię. Po paru latach intensywnie nauki skończył prawo i poświęcił się emisarce. Miał duży talent publicystyczny, który wykorzystał, pozostawiając po upływie długiego żywota sporo rozpraw i artykułów o treści prawnej i ekonomicznej. Interesowały go w latach czterdziestych XIX stulecia sprawy angielskie, zwłaszcza rozwój przemysłu i narastająca w następstwie tego rozwoju problematyka robotnicza; interesowały go także francuskie teorie utopijno-socjalistyczne, a poza tym „Związek Sprawiedliwych” w Paryżu, orga-

nizacja emigrantów niemieckich. Ożeniony z siostrą Ludwika Mierosławskiego, Ksawerą, pasował do swego szwagra wiekiem, poglądami, ale ustępował mu temperamentem rewolucyjnym i polemicznym, za to przewyższał go wykształceniem i jasnością wyśłowienia. Taki właśnie emisariusz jak Mazurkiewicz był wówczas potrzebny do przeciągnięcia rozbitków lelewelistycznej konspiracji krajowej pod sztandar Towarzystwa Demokratycznego. Dlaczego właśnie taki? Bo rozbitkowie ci rekrutowali się w większości spośród członków i sympatyków frakcji konfederackiej Stowarzyszenia. Najwięcej ich było w ośrodku spiskowym warszawskim, lubelskim i radomskim. Mazurkiewicz połowicznie wykonał polecenie Centralizacji. Szybko pozyskał względy lewicy Stowarzyszenia i frakcji konfederackiej organizując w oparciu o nie Związek Narodu Polskiego, który dość luźnie związał organizacyjnie i ideologicznie z Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego. Wśród najbliższych współpracowników Mazurkiewicza znaleźli się Edward Dembowski oraz kilku innych młodych zapalczyków, związanych ze środowiskiem spiskowym warszawskim. Konspirację lubelską oparł Wincenty Mazurkiewicz na młodym adwokacie Aleksandrze Karpińskim, radomską na swoim krewnym, Leonie Mazurkiewiczu, patronie trybunału sandomierskiego, poostającym od dłuższego czasu w kontaktach z emisariuszami emigracyjnymi, zapalonym zwolennikiem rewolucji społecznej — chłopskiej demokracji.

Dembowski, Karpiński, Leon Mazurkiewicz byli rzecznikami natychmiastowej rewolucji, z którą wiązały nieodłącznie sprawę wewnętrzną przebudowy społecznej na zasadach utopijnego komunizmu agrarnego. Siatka spiskowa została zawiązana pod oficjalną firmą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, ale duch, jaki ją ożywił, daleki był od ortodoksyjnego, odbiegał wyraźnie od założonych ideowych Manifestu z 4 grudnia 1836 r. Pułpił Helmana, autora tegoż Manifestu i gwardiana wiary demokratycznej, Wincenty Mazurkiewicz, spłatał swemu mocodawcy — Centralizacji — przykrego figla, posłał w Królestwie Polskim wśród skaptowanych przez siebie członków nowego, demokratycznego spisku babuizm w specyficznej interpretacji portsmoutskich i jersyjskich ekskarbończyków — gromadzi. Na plany nie trzeba było długo czekać. Dojrzeli one szybko pod czułą opieką Dembowskiego, Leona Mazurkiewicza i księdza Piotra Ściegiennego, dojrzeli w warszawskim kółku entuzjastów i entuzjastek zamkniętym wokół „Przeglądu Naukowego” redagowanego w r. 1842.3 przez Dembowskiego oraz w „Związku Chłopskim” Ściegiennego (1840—1844) w Lubelszczyźnie i Kieleckiem.

Kontakty Ściegiennego z warszawską grupą Dembowskiego są znane i nie wymagają bliższych omówień; znane jest również podziwianie na szefa „Związku Chłopskiego” poglądów społeczno-politycznych Dembowskiego i idących z emigracji doktryn francuskich utopijno-socjalistycznych.

Wincenty Mazurkiewicz po zmontowaniu konspiracji w Królestwie pod nazwą Związek Narodu Polskiego wyjechał w Poznańskie (1840), by podprzeć wysiłki organizacyjne emisariusza Walerego Breańskiego, który nie bez trudności mógł postawić pierwszy zrab demokratycznej organizacji poznańskiej, pięcioletni Komitet z Karolem Libeltem na czele. W rozbudowie konspiracji pod firmą Towarzystwa Demokratycznego przeszkadzała Breańskiemu poważnie „organiczna praca” Karola Marcinkowskiego i jego proktorów spośród folwarcznej szlachty i młodej polskiej burżuazji. Dopatrywali się oni w ruchu demokratycznym tendencje komunistyczne, sami zaś szli głównie na obronę praw Polaków w monarchii pruskiej, łącząc ją z „pracą organiczną” na modłę francuskiej burżuazji pojętą. Pobyt Wincentego Mazurkiewicza w Księstwie sprzągał się wielomówiąco z pojawieniem się na arenie spiskowej poznańskiej „Związku Plebejuszy” księgarza Walentego Macieja Stefańskiego. Sprawiedliwy rozdział dóbr i zysków, zapewnienie robotnikowi prawa do pracy, zniesienie na czas rewolucji własności obszarnej i sugerowanie wspólnego władania ziemią wysuwał Stefański na czoło swych postulatów społecznych. Egalitaryzm w surowej postaci z mocnymi akcentami ewangelicznymi, kryjący w wielu miejscach wewnętrzne sprzeczności — oto w ogólnych zarysach program Stefańskiego. Baza społeczna „Związku Plebejuszy” — to elementy plebejskie oraz młodzież szkolna skora do rewolucyjnego czynu. Drobnymi rzemieślnikami i sklepikarzami, czeladnikami i terminatorami, oficjalistami dworscy, służba folwarczna, chałupnicy a zwłaszcza liczna rzesza komorników wylutych z ziem wskutek rugów dziedziców i nieobjęta „dobrodziejstwami” ustawy regulacyjnej z roku 1823, a stanowiąca trzon proletariatu wiejskiego. Baza społeczna spisku była więc bardzo szeroka. Toteż „Związek Plebejuszy” odegrał w ruchu rewolucyjnym Wielkiego Księstwa Poznańskiego rolę wybitną, bodajże ważniejszą niż organizacja demokratyczna kierowana z emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne i jego poznańską ekspozyturę, w której największy wpływ wywierali Libelt, Guttry i Jędrzej Moraczewski, przedstawiciele burżuazyjno-szlacheckich demokratycznych grup w ruchu, skorych do ugody ze szlachtą obszarową. Stefański i jego plebejusze dawali zastrzyki rewolucjonizmu Centralizacji Poznańskiej i Wersalskiej i pchnęli obie na drogę rewolucyjnego czynu. To na ich konto trzeba zapisać rok 1846. Zasięg terytorialny organizacji Stefańskiego mimo dywersji uprawianej przez „organicznych” i Centralizację Poznańską, dywersji szlachecko-burżuazyjnej, był duży. Siegał jedną odnogą do Berlina, Torunia, Chełma i

Gdańska, drugą — do Wrocławia, gdzie współdziałał z niemieckim „Klubem Socjalistycznym”, którego właściwy ośrodek dyspozycji znajdował się w Paryżu, w komunistycznym (na modłę ówczesną) „Związku Sprawiedliwych”. W Berlinie zaufany Stefańskiego, Teofil Magdziński, utrzymywał bliskie kontakty z weteranami „Klubu Doktorów”, w którym działali nie tak dawno (1841-2) Marks i Engels. Tenże Magdziński inspirował na początku 1846 r. treść artykułu zamieszczonego w „Gazecie Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, w którym opisano w ciemnych barwach dolę „wyrzobników” w Poznańskim, „owych niewinnych ofiar stosunków społecznych, skazywanych od kolebki do grobu na niedostatek i cierpienie”. Przyczynę tego stanu ukazywał w „arystokratycznych pieniądzech”, co bez najmniejszej pracy mają wszelkie potrzeby i wygody życia mniejszej części narodu... pozyskane pracą, znojem, niedostatkami i niedzą większą”. W konkluzji żądał Magdziński „urządzenia pracy” mogącego zapewnić ją każdemu obywatelowi.

Problematyka robotnicza wchodzi w lata 1843—1846 na łamy prasy polskiej, inspirowanej przez plebejski, zdecydowanie rewolucyjny nurt konspiracji krajowej prowadzonej pod firmą Towarzystwa Demokratycznego. Widać ją dzięki Dembowskemu w warszawskim „Przeglądzie Naukowym” (1843-4), w poznańskim „Tygodniku Literackim”, w redagowanym przez Moraczewskiego do spółki z Libeltem miesieczniku „Rok” (1843—1846). I w tym ostatnim organie prasowym plebejusze mają wpływ, zwłaszcza od jesieni 1843 r., tj. od przybycia do Poznania Dembowskiego i innych entuzjastów po odkryciu (w sierpniu 1843) przez policję carską kilku ogniów Związku Narodu Polskiego w Królestwie.

Dembowski i Stefański, Leon Mazurkiewicz i Ściegienny — to ognia jednego łańcucha, któremu na imię — plebejski nurt w rewolucji burżuazyjnej. Ale łańcuch ten nie zamykał się na ziemiach polskich. Łączył się on dalszymi ogniami z podziemnym ruchem robotniczym niemieckim, prowadząc przez Szwajcarię do Paryża, a może i do Londynu, do „Związku Sprawiedliwych”. Dr. Ewerbeck, kierownik „gmin” paryskich „Związku Sprawiedliwych”, był w r. 1843-48 gorącym sympatykiem lewicy Towarzystwa Demokratycznego skupiającej się koło Wincentego Mazurkiewicza i Ludwika Mierosławskiego. Zlikwidują oni w r. 1845 ugodowców szlacheckich w Centralizacji Wersalskiej, przeciwników powstania: Tomasza Malinowskiego i Henryka Jakubowskiego, by pchnąć Towarzystwo Demokratyczne na tory rewolucyjnego czynu w kraju. Mierosławski zasiadł w Centralizacji jako autorytet w sprawach wojskowych, zasiadł po złożeniu Helmana przy przysiężeniu, że przysięży swój „komunizm”. Komunizm — to była najważniejsza przeszkoda na drodze Mierosławskiego do wodzostwa w kraju.

A Wincenty Mazurkiewicz? On nie przysięgał swego „komunizmu” jak Mierosławski, ale odczytywał na drodze lektury prac Marksa i Engelsa od utopizmu. Mazurkiewicz czyta artykuły Marksa i Engelsa w „Rocznikach Niemiecko - Francuskich” i „Vorwärts” (1844), organie uchodźców niemieckich, krytykujące utopijny komunizm i poruszające problem robotniczy w związku z powstaniem tkaczy śląskich i ciężką dolą proletariatu angielskiego — proletariatu fabrycznego. Nie obce też były muśiały dla Mazurkiewicza F. Engelsa „Listy o socjalizmie i komunizmie na kontynencie”, ogłaszane od października 1844 do maja 1845 r. w owestyckim „The New Moral World”, wychodzącym w Leeds. Ale i Engelsowi nie obcy był plebejski nurt konspiracji poznańskiej, skoro w liście pod datą 10 maja ogłoszonym w „The New Moral World” donosił o odkryciu w Poznaniu przez władze pruskie „komunistycznego stowarzyszenia” młodzieżowego braci Rymarkiewiczów (luty 1845). Rymarkiewiczom udało się wówczas zbliżyć do granicy. Wiadomo, że byli oni ściśle związani z Walentym Stefańskim i tworzyli ze swoją konspiracją młodzieżową odnogę „Związku Plebejuszy”. Engels, który rozróżniał tak starannie terminy: „socjalista” i „komunista”, zwłaszcza w zastosowaniu do ruchu społecznego w Prusach, wyraźnie klasyfikował spisek młodzieżowy Rymarkiewiczów do grupy komunistycznych.

„Widmo komunizmu” krążyło na kilka lat przed rokiem 1846 w Poznańskim i straszło nie tylko władze pruskie i polskich „organicznych” oraz kler, straszło ono najbardziej szlachecko - burżuazyjne skrzydło Centralizacji Poznańskiej uprawiające je w odrętwienie. Widmo to pojawiło się w r. 1847 podczas procesu berlińskiego Mierosławskiego i towarzyszy. Przepędził je wówczas szaryderczymi słowami „Napoleon” Centralizacji — Mierosławski. Ale nie tu skończyła się droga komunistycznego widma. Zjawiało się ono po załamaniu się ruchu rewolucyjnego 1846 r. w Poznańskim na szpalach obszarniczo-klerikalnego „Przeglądu Poznańskiego” Koźmianów. Jeden z nich przedstawiając „Stan rzeczy w W. Księstwie Poznańskim” tuż po wydarzeniach rewolucyjnych pisał: „O robotach komunistycznych w Księstwie trudno wyrzec stanowcze zdanie, ile że zarzut tego wszyscy nadużywają. Zdaje się, że byli komuniści teoretyczni między wykształconymi, a że młodzi niedoświadczeni ludzie, którzy się mienili komunistami, brali w mylnym przekonaniu komunizm tylko za środek do odzyskania ojczyzny... Tu i ówdzie komuniści podburzali komorników do gwałtu w nadziei podziśtu majątków... (Przegl. Pozn. 1848, VI, 188—489). Tak pisał „Przegląd Poznański” w czerwcu 1848 roku w przeświadczeniu, że „widmo komunizmu” znikło bezpowrotnie. Ale jakże musiał drżeć ze strachu jego redaktor, gdy czytał w lutym numerze „Roku 1846” w artykule pt. „So-

cializm i polityka” wyszłym spod pióra rzecznika plebejskiej drogi rewolucyjnej, następujące konkluzje: po obaleniu feudalizmu „ogłoszono wolność obywatelską, ale w takiej formie, że to było ogłoszeniem rozstrzelenia egoistycznego. Sądono, że człowiek w ogóle wprowadzony został na szczybel najwyższej godności, a tymczasem został on u spodu, a mieszczanin tylko wzbił się wysoko i na człowieka, równie jak dawniej dygnitarz kościoła lub stanu rycerskiego, z góry spoglądać zaczął. Sądono, że władza przeszła na człowieka z tytułem obywatelskim, a tymczasem ona wyrwała się tylko z ręki szlachty, aby zostać narzędziem do łowienia z drugiej korzyści w rękę mieszczaństwa. Upadło znaczenie miecza i genealogii, a wstąpiło na jej miejsce znaczenie maszyny fabrycznej i kapitału w brzęczącej monetcie lub papierze. Na tej drodze nie odzyskał więc człowiek wolności cywilizacyjnej, którą miał od początku jakkolwiek dziką... (Rok 1846, str. 77). A kilka stron dalej: „polityka może się tylko wspierać na socjalizmie, który właściwie obejmuje jej pierwotne części; polityka jest powierzchownym kształtem drzewa, ale jego soki, organy, listki, tkanki, kości, korzenie i włókna, wewnętrzne własności drzewa społecznego są przedmiotem socjalizmu. Jest on więc właściwie tylko wewnętrzną głębszą polityką i codziennie zyskuje więcej obywatelstwa pomiędzy umiejętnościami, a bez wątpienia stanie się wkrótce najgłębszą ze wszystkich” (str. 89).

Widać w tych przytoczonych fragmentach zarodki materialistycznego pojmowania procesu dziejowego, ślad niewątpliwiej lektury artykułów Marksa i Engelsa. Ciekawe, że długie krytyczne artykuły o stosunkach społeczno-politycznych w Anglii pojawiają się w „Roku” głównie w latach 1845-6 i mają wiele podobnych sformułowań konkluzyjnych do sformułowań Engelsa, zawierających się w jego wypowiedziach na łamach paryskiego „Vorwärts” (1844). A w numerze marcowym „Roku 1846” w artykule pt.: „Nedza i przeświadczenia w Anglii” czytamy: „Najszacowniejsze objaśnienia pod tym względem mamy do zawdzięczenia dziełu F. Engelsa „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”, dziełu, którego nigdy dośięć nazywać się nie można”. Autor (według wszelkiego prawdopodobieństwa Wincenty Mazurkiewicz) dochodzi w swych wywodach do następującego wniosku końcowego: „tylko zniesienie niedzy proletariatu może zapobiec zbrodni, przywrócić panowanie ducha, podnieść ludzi nad stan zwierzęcości, który się bardziej rozpostarł teraz jak kiedykolwiek. Dopokąd indywidualizm panować będzie, dopóki ta wojna wszystkich przeciw wszystkim ma stanowić społeczna podnastę...” (str. 160).

Pisał te słowa Mazurkiewicz w chwili, gdy przy blasku płonących dworów szlacheckich w Galicji konało powstanie 1846 r., gdy na Podgórzu leżał od kul żołdaków austriackich jego najwinniejszy druh, jeden z głównych przywódców plebejskiej konspiracji na ziemiach polskich, szermierz „demokracji agrarnej”, Edward Dembowski. Po Ściegiennym wyolbrzymił on jeszcze bardziej „widmo komunizmu”, którego tak się bał „Przegląd Poznański” i jego poplecznicy: folwark i plebania.

Revolucja 1846 roku załamała się, bo kierująca nią szlachecko-burżuazyjna demokracja nie miała za sobą najważniejszego sojusznika, nie miała silnego plebejskiego zaplecza rewolucyjnego. Sama zaś była za słaba, by móc przeprowadzić powstanie do zwycięskiego końca i do tego w trzech zaborach. Zaplecze plebejskie tej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji było rozbite: w Królestwie Kongresowym od jesieni 1844 r., tj. od likwidacji przez policję „Związku Chłopskiego” Ściegiennego; w zaborze pruskim w lutym, listopadzie i grudniu 1845 r. przez aresztowanie wśród członków „Związku Plebejuszy” i wskutek uwieszenia Stefańskiego (8 listopada 1845); wreszcie na najważniejszym odcinku — w Galicji przez krecią politykę miejscowych szlachecko-burżuazyjnych przywódców powstania, której następstwem było zatamowanie drogi do masy chłopskiej plebejskiemu nurtowi ruchu: Dembowskim, Goślarom, Leonom Mazurkiewiczom... i śmiercionośna dla powstania rabacja. W tych warunkach ruch rewolucyjny 1846 r. musiał się załamać. Nie należy przy tym wszystkim, co powiedziano wyżej, przeceniać roli rewolucyjnej plebejskiego nurtu w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym lat czterdziestych XIX w., którego pierwszy etap zamyka powstanie 1846 r. Nurt ten pomimo znacznego zasięgu klasowego i terytorialnego nie był jeszcze dostatecznie silny i dynamiczny, bo brak było w nim właściwego rewolucyjnego trzonu — proletariatu fabrycznego. Braku tego nie był w stanie wypełnić pomimo całej swej ofiarności i bojowości anj proletaryzowany rzemieślnik, ani chłop pańszczyźniany bądź komornik.

Brak proletariatu fabrycznego w plebejskim nurcie ruchu narodowo-wyzwoleńczego na ziemiach polskich w pierwszej połowie XIX stulecia wynikał z zapóźnionego w stosunku do Zachodu rozwoju przemysłowego kraju.

Entuzjastyczna recenzja książki Engelsa w ostatnim potewolucyjnym numerze „Roku 1846” otwierała dla polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego nowe perspektywy na przyszłość. Mazurkiewicz uznając bez zastrzeżeń wywody Engelsa odnośnie rewolucyjnej roli proletariatu wskazywał pośrednio społeczeństwu polskiemu drogę do społecznego i politycznego wyzwolenia. Oto dlaczego uważaliśmy za wskazane omówić obszerniej polski ruch narodowo-wyzwoleńczy poprzedzający ukazanie się wymienionej recenzji.

Witold Łukaszewicz

O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii^{*)}

Pismo, które kiedykolwiek jaki Niemiec napisał, jest niewątpliwie najważniejszym Fryderyka Engelsa i dlatego chcemy pomówić obszerniej o niem Anglia daleko naprzód wysunęła się w postępie przed innymi państwami europejskimi; stanowi ona prawdziwe Eldorado polityków, a zwłaszcza starego cudzoziemskiego autoramentu, tudzież przemysłowców wszelkiego rodzaju. Chcieliby oni porwać za włosy całą ludność i gwałtem ją przyciągnąć, do tego szczęścia angielskiego. Otóż występuje Engels, przedstawia nam tego szczęścia najwyrazistszy daguerrotyp, w którym rozpatrzywszy się należycie, nie wpadamy w żaden zapal uniesienia, ale owszem zostajemy dreszczem przejęci, bo cały urok zewnętrznej polisy, niweczy daleko większa przewaga najokropniejszej nędzy, a my przywykliśmy tam gdzie ludność idzie na podział między stronnictwa, kłócić się o nierównie większą liczbę, o masy. Musimy wierzyć naszym oczom, iż poza całym tym przepychem, który nam okazują z oddalenia i który piękniej jeszcze malują jak jest w rzeczywistości, stoi mnóstwo drobnych, podziernych chatek, do chlewa nie do domu podobnych, w których jak śledzie są na mieszkaniu zapakowani wyrobnicy; tam więc gdzieś się spodziewali pojąć dobrze i wybornie zorganizowane społeczeństwo, tam widzimy tylko bardzo jaskrawo odbijające się kontrasty bogactwa i nędzy, zapatrzenie sinekurów, a uszczuplanie dochodów pracy, w ogóle despotyzm i niewolę; zamiast budowli na mocnych fundamentach z ciosowego kamienia, spotykamy tylko na murszu ze surowek ulepiony i walący się dom, którego jakby celem była sama zewnętrzna okazałość. Engels bawił długo w Anglii, żył z klasą wyrobniczą i stąd miał sposobność obeznać się należycie z jej stosunkami, a do tego to, co spostrzegł, starał się bliżej objaśnić przez dowody piśmienne i autentyczne. Przeciw zarzutowi stronnictwa zabezpieczył się dokładnie, przez to, że dowody na swoje twierdzenie wyciąga ciągle z pism tych, które mają na celu walczyć przeciw proletariatu, i z dokumentów urzędowych. „Przy największej liczbie, powiada Engels w przedmowie: starałem się kłaść zdania ludzi mających

*) W piśmie: „Rok 1846 pod względem oświaty przemysłu i wypadków czasowych“, Poznań, r. 1846 Nr 1. Artykuł ten przedrukujemy z niewielkimi skrótami.

przeciwnie zdanie jak ja z tej przyczyny, że liberalni ciągle starają się wykazywać nędzę tych okęgów, w których rolnictwo stanowi główną gałąź zarobkowania, a że zapierają ubóstwa pomiędzy okęgami fabrycznymi: stronnictwo konserwatywne robi znowu przeciwnie, to jest uznaje nędzę miejsc fabrycznych, a zapiera ją w miejscach rolniczych. Z tej przyczyny gdzie mi tylko niedostawało urzędowych dokumentów, przy kreśleniu obrazu wyrobników przemysłowych, przytaczałem zawsze dowody brane od stronnictwa liberalnego, ażeby liberalne mieszczaństwo bić argumentami z jego ust wyjętymi, a odwoływać się w ogólności tylko wtedy na Torysów i Chartisów, kiedy samo położenie rzeczy przekonywało o prawdzie, albo gdy z własnego przypatrzania się miał zupełną pewność, albo nareszcie gdy opowiadanie było takich ludzi, którzy mieli za sobą i naukowe ukształcenie, i rękomią osobistego charakteru“.

Autor zaczyna dzieło od przemowy wstępnej do wyrobników angielskich, w której mówi tak silnie i z serca, a przy tym tak dobrze świadom o swoim szlachetnym sposobie myślenia, iż nie można się wstrzymać aby z jej osnową nie obeznał czytelnika.

„Wyrobnicy! Wam poświęcam dzieło, w którym postanowiłem stawić przed oczy swym rodakom Niemcom obraz waszego położenia, waszych cierpień i walk, waszych nadziei, i waszych widoków na przyszłość. Dostę długo przestawałem wśród was i z wami, ażeby zdobyć sobie pojęcie waszych stosunków, nie szczędziłem myśli i pracy do ich badania, zgłębnienia, rozpatrywałem się w dokumentach i urzędowych i nieurzędowych do jakich tylko mogłem się dotrzeć; nie przestawałem jeszcze i na tym — ubiegałem się za czymś więcej jak za uskarbieniem abstrakcyjnego pojęcia przedmiotu; usiłowałem przypatrzeć wam się w waszych domach, w waszym codziennym życiu, z wami o was i waszem położeniu gawędzić, abym na koniec mógł poświadczyć waszą walkę naprzeciw społecjalnym i politycznym stosunkom. To jedynie czyniłem. Nie kłopotalem się zaś wcale o wyższe towarzystwo, o przyjemność na zapraszanych obiadach, o wina portugalskie i szampańskie, które zapija średnia klasa. To mi jest pociechą i pysznie się z tego: pociechą bo nie jedne chwile bardzo miło spędziłem na poznawaniu życia w całej jego rzeczywistości — chwile, albo raczej godzinę, którąbym był musiał trawić na elegancko wymuszanej i nudnej

etykiecie, na rozmowach o niczem; pysznie się zaś z tego powodu, iż miałem porę oddać sprawiedliwość klasie ludzi ucisnionej i spotwarzonej, klasie ludzi, której pomimo wad jakie się w niej korzenie mogą i pomimo najnieprzyjawniejszych okoliczności, każdy człowiek, choćby nawet był angielskim faktorem biegającym za interesami pieniężnymi musi przyznać znakomitą godność; pysznie się iż miałem sposobność niejako ratować lud angielski od coraz bardziej wzrastającej przeciwnie nienawiści, która na stałym łaździe koniecznie musiała znajdować zasilek do wzrostu, z brutalnej i egoistycznej polityki i z postępowania waszej nad krajem panującej średniej klasy. Dla średniej klasy jestem zupełnie obcym człowiekiem; nie dla niej rozwija się we mnie nadzieja. Może iż się nie wysławiam należycie po angielsku. Żaden wyrobnik anielski, i nawiasem wspominając francuski nie zachowywał się względem mnie, jak względem cudzoziemca. Dostrzegalem z największą pociechą, że nie podlegacie przekleństwu przesady narodowego i narodowej nienawiści, która jest narzędziem wszelkiego nieweczenia — które się nareszcie na niczem innym skończyć nie może, jak na egoizmie kupca ryczałtowego. Widziałem z jakim dla każdego jesteście uczuciem, co swoje usiłowania szczerze poświęca postępowi ludzkości, czy jest lub nie jest Anglikiem; że wszystko co wzniósł uwielbiane, czy to na waszej, czy na cudzej ziemi powstało. Uznałem, że jesteście czemś więcej jak samymi Anglikami, jak członkami pojedynczymi osobnościami narodu; znałem u was ludzi członków wielkiej ogólnej rodziny ludzkości, którzy wiedzą, że wasz interes i interes całego rodzaju ludzkiego jest jednym i tem samym. Wam tym członkom jednej i nierozdzielnej ludzkości jako jestem człowiekiem w najwznioślejszym znaczeniu tego wyrozu, żyję z wami i niejedną inną ze stałego ładu całym sercem szczęścia i pomyślności, na waszej drodze rozwoju. Dalej naprzód jak dotychczas. Niejedno znieść wam jeszcze przyjdzie; tylko stałość i wytrwanie! Osiągnięcie skutku jest pewne, i żaden krok któryście na waszej prostej drodze zrobili nie przeminie daremnie dla naszej wspólnej sprawy, dla sprawy ludzkości“.

We wstępie wyklada i rozwija autor przegląd rozwoju przemysłowego i wykazuje jak ten rozwój coraz bardziej niweczył dawne patriarchalne stosunki, a na ich miejsce dźsięjsze nowe postawił. Tkactwo bawełniane,



Winieta wydania niemieckiego „Polożenia klasy robotniczej w Anglii“

które teraz jeszcze stanowi najgłośniejszą gałąź przemysłu angielskiego, zrobiło początek, dało pchnięcie do ruchu, w który na koniec wszystkie gałęzie przemysłowe wprawione zostały. Przez wynalazek „Jenny“ z r. 1764, tyczący się bardzo prostej maszyny przędznej, rozpoczął się podział pracy.

Tkacze po domach surowy materiał na materię w zupełności wyrabiali, a przy tym zwykle trudnili się i rolnictwem, od owego czasu podzielił się na przędaków i tkaczy, a rolnictwo całkiem pomiechali. Ukształcił się przemysłowy proletariatu, a przez to popuszczane grunta pozamieniały się na rozległe dzierżawy. Mali posiadacze albo dzierżawcy (Yeomen), którzy do owej epoki, w tej samej cichości i bez zajmowania się myśleniem węgłowali co ich sąsiedzi tkacze, podpadli także wywołanemu przez to spółubieganiu. Musieli się posprzedać, a odtąd pomnażają liczbę przędaków i tkaczy, albo najemnicy służą u wielkich dzierżawców. Powstaje więc proletariatu rolniczy. Za wynalazkiem „Jenny“ zaczęły się pokazywać inne, które ciągle ułatwiał pracę, zastosowanie maszyn stawało się coraz powszechniejszym i nareszcie zaczęło się szerzyć po innych gałęziach przemysłowych. Zwyczajstwo pracy maszynowej nad pracą ręczną przez wszystkie główne gałęzie przemysłu angielskiego stało się zupełnie stanowczym, a cała historia tych głównych gałęzi przedstawia obraz, jak robotnicy ręczni z jednego stanowiska, przez maszyny przerzucani byli. Skutkiem tego było na jednej stronie male opadanie cen wszystkich wyrobów, rozkwitanie handlu i przemysłu, zdobywanie prawie wszystkich zagranicznych niedobrze zasłoniętych targów, śpieszny wzrost kapitału i bogactwa narodowego; na drugiej zaś stronie jeszcze śpieszniejsze mnożenie się proletariatu, wyrzucanie wszelkiej własności, bezpieczeństwa zarobku dla klasy wyrobniczej, demoralizacja, wzburzenie polityczne i wszystkie okoliczności tak sprzeciwiające się właścicielom angielskim. Przez wykształcenie się przemysłu nabrały większej wagi kopalnie, marynarka zwiększyła się, a komunikacje lądowe znacznie powiększone zostały; nawet na rolnictwo pokazał się znaczny wpływ, bo przez wzrost ludności zaczęło z większą głębi wydobywać się produkcyjną, a stąd udoskonalały się gospodarstwa. Historia przemysłu angielskiego, jak powiada autor, nie ma przykładu w dawniejszych czasach. Przed sześćdziesięciu lub osiemdziesięciu laty, kraj z małymi miasteczkami jak inne, z drobnym i prostym przemysłem, ale z obrzednią, a stosunkowo znaczną ludnością rolniczą staje się krajem nad wszystkie inne, ze stolicą liczącą półtrzecia miliona mieszkańców, z kolosalnymi miastami fabrycznymi, z przemysłem, który wszystkiego dostarcza całemu światu a wszystko dostarczając za pomocą jak najbardziej komplikowanych maszyn, z pilną oświeconą gęsto nabitą ludnością, której dwie trzecie zajmują się przemysłem, i która całkiem nie ma już niegdyś. Przemysłowa rewolucja ma względem Anglii całkiem inną ważność jak polityczna rewolucja dla Francji i filozoficz. na dla Niemiec; różnica pomiędzy Anglią z r. 1760 a Anglią z r. 1844 jest przynajmniej tak wielką jak pomiędzy Francją z czasów ancien regime i od rewolucji lipcowej. Najważniejszym owocem tej przemysłowej rewolucji jest proletariatu.

Koniecznym skutkiem ukształcenia się przemysłu, było skoncentrowanie ludności na pojedyncze punkta, a w skutek tego jej gwałtowne mnożenie się, które jeszcze ciągle wzrastało. Prawie cały przybytek padł na klasę proletaryuszów. Drobne mieszczaństwo znika dzień po dniu i pomaga do wzrostu liczby proletaryuszów; przepaść oddzielająca mieszczaństwo od proletariatu jest codziennie większa i dla proletaryusza zupełnie znikła nadzieja, ażeby kiedykolwiek mógł zostać mieszczańinem. Położenie klasy robotniczej,

Tadeusz Kubiak

BUT GENERAŁA

(Poemat o generale Świerczewskim)

Na podeszwie generalskiego buta,
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji
linie frontów, przez które przeszedł,
drogi wolności zaszczerzej,
miasta, wsie, parafie, gminy,
systemy budowane przez wyzysk i ucisk,
pośmiertne maski stolic
odlane z kości słoniowej
i niedoskonałego złota,
kopalniańskie odciski myśliwskich strzelb
i innych nienawistnych mu narzędzi mordu
pokrytych rdzą i śniegiem —
historia ostatnich trzydziestu lat,
pośmiertna maska faszyzmu,
który chciał dzielić świat,
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.

To wszystko ujrzysz na podeszwie
generalskiego buta —
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji.

Ten but nie znał śliskich, lodowatych
konferencyjnych podłóg.
Nie potykał się na wysokich progach Wall Streetu,
nie deptał kolorowych kości
z pasją zwierzęcą i podłg.
Wciągnięty na nogę, której nie obca była
nagość
w dzieciństwie na Woli nawet zimą —
szedł uparcie wzbudzonym światem. Linia
okopów wrażała weń za linią.

Wciągnięty na nogę
pod Moskwą w siedemnastym roku
w październikowy, dżdżysty dzień walki
zrosł się na zawsze z żołnierską stopą.

Zrzadka dotykał spokojnej ziemi
w zielony wieczór —
w tej Europie jak Madelon
lat czterdziestych rodzącej
dzieci ciągle na rzeź, pełnej złych przeczuć.
Nigdy nie szedł obok mięciutkich,
leciutkich jak motyle —
Wiecznie pod tym butem paliła się ziemia.
Wolał tę stopę żołnierską — żandarnski kontynent.

Na pomoc! — wołał.
Drogi wojenne mówiły — Prowadź!
Europo — (Mario, Nataszo, Madelon)
bądź wolna, czysta i zdrowa.

III

Jak na mapie sztabowca na podeszwie
generalskiego buta wyszedł
wśród pochodów wielkiej rewolucji

i ścieżek w winnicach zawisłych —
drogę samej wielkiej tęsknoty
do własnej ojczyzny nad brzeg,
nad łożę równinnej Wisły.

Meldowali mu obcojęzyczni
w trzydziestym szóstym i siódmym —
Sto miast umęczono,
tysiąc szumiących wsi zasypiano
ziemią i szkarłatnym powietrzem.
Podcięto w rozkwicie dziesięć tysięcy róż.
Milionowi sprawiedliwych głowy
odrabano średniowiecznym mieczem.
Mściwy nóż.
Rdzawy nóż.
Gniewu nóż.

Meldowali mu potem swoi
w czterdziestym trzecim i czwartym —
Tysiąc miast umęczono.
Powierzono głupim i złym los stolicy.
Tysiąc wsi obrócono w popiół.
Zcięto tysiąc topól
na szubienice.

Zanurzył się but generała
w śniegu Europy wschodniej,
w śniegu Europy środkowej.
Przywdziany na nogę w dniu rewolucji
szedł po skłóconej ziemi.
Nie ominął ani jednego frontu,
ani jednego okopu dżdżystej jesieni.

Nie ominął ani jednego szlaku
wyznaczonego powracającym ptactwem.
Wszystką wędrowną znajdziesz na żołnierskiej podeszwie.
Nieprzeniknione drogi otworzone słońcem.
Krajobrazy wpisane w sprzchy kół armatnich,
w rumowiska kamieni, w deszcze.

Wśród ludzi ze zmęczenia padających
całkiem zwierzęco,
wśród koni zamykających w marszu oczy
całkiem ludzko —
wśród nocy chrapliwych od walk,
w dolinach jak muszle szumiących —
meldowano mokremu od śniegu,
spalonemu jak słońcu dębu od słońca.

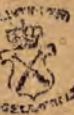
Był zawsze przeciw tym, którzy
chcieli dzielić świat między siebie,
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.
Nienawidził rąk obliczających
zyski z kolonialnych podbojów.
Widziano go często na czele kompanii.
Szedł na przedzie.

ROK 1845.

pod względem

oświaty, przemysłu i wypadków

czasowych.



I

POZNAN.

Wydawnictwo i drukarnia N. Kamińskiego i Spółki

1845.

„Rok 1845 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych” (Na okładce błąd ze-cerski: Winno być „Rok 1846” — przyp. red.)

to jest położenie niezmiennie licniejszej większości, tych ludzi, którzy dźlą to spożywają co wczoraj zarobili, którzy swymi wynalazkami i swoją pracownością stworzyli potęgę Anglii, którzy dźlą za dniem lepiej się dowiadują o potęgę swojej, i codziennie silniej dopominają się udziału przy korzyściach z urządzeń społeczeństwa; — pytanie to od wprowadzenia bilu dotyczącego się reformy, stało się pytaniem narodowym. Klasa średnia wykreca się z odpowiedzialności na pytanie, daremnie czy nie zabiegł, aby swój interes uduć za narodowy, z każdym zgromadzeniem się parlamentu, klasa wyrobnicza zyskuje przestrzeniejsze pole, prawie wszystkie ważniejsze rozprawy parlamentu redukują się na ten przedmiot. Atoli jest już czas, aby angielska średnia klasa nie dopraszającym się, ale odgrazającym i domagającym się wyrobnikom porobiła przyzwolenia, bo w krótkim czasie, może właściwa pora przemian. Ale pomimo to wszystko średnia klasa angielska, a mianowicie fabrykantów, którzy poboga-cili się samą nędzą wyrobników, nie chce ani słuchać o tej nędzy. Czując się przy władzy i uważając się za cały naród, wstydzi się bliźni i odniesionej rany, i nie chce się z tego wydać przed światem; wzdyga się od wyznania że wyrobnicy są nieludźko biedni, bo na nią jako posiadającą ziemię spadłaaby moralna odpowiedzialność, za tak srogą biedę. Stąd to że ironiczne twarze Anglików średniej klasy, a tylko ta klasa znana jest na stałym łądzie — przy każdej rozmowie dotyczącej się wyrobników; stąd to całka nieświadomość stosunków wyrobniczych; stąd te śmieszne szamotanie się, które ta klasa w parlamencie i po za jego murami robi, gdy wchodzi na stół sprawa pro-

letaryacka; stąd to ta uśmiechająca się obojętność na pokładzie słabym, który zakrywa przepaść, który pęknięcie może co chwila, o którym jest prawie matematyczna pewność, że pęknie i klasie średniej da spaść na złamanie karku. Trzeba się dziwić i dziwić niesłychanie, że Anglicy nie mają jeszcze ani jednego należącego do położeniu wyrobników, lubo od wielu już lat około tego się krzątała i kleja i lataja. Stąd na drugą stronę ta ponura nienawiść wyrobników głązgowskich i londyńskich naprzeciwko ludziom bogatym, co ich systematycznie eksploatują i bez uczucia na pastwę srogemu losowi rzucają.

Dalej Engels wprowadza czytelnika do wielkich miast i obnażają go z położeniem wyrobników, tak jak mu się własnymi oczami przypatrzył. W Londynie pokazuje nam przed wspaniałe gmachy stolicy, olbrzymie warsztaty okrętowe, okrętami pokrytą Tamizę i nareszcie wprowadza w ruchliwy na-tłok po ulicach. Ale i to ma już w sobie coś uderzającego, coś takiego przeciw czemu o-burza się natura człowieka. Te setne krocie tysięcy klas rozmaitych i wszelkich stanów, które się tłoczą, czyż nie są prawie ludźmi, z temi samymi zdolnościami i przy-miotami i z tym samym interesem osiągnięcia szczęścia? czyż nie mają ostatecznie równego prawa do ubiegania się o to szczę-scie? A przecież pcha się jeden obok dru-giego, jak gdyby w niczem nie byli do sie-bie podobni, nie mieli równego prawa, a je-dyna w milczeniu zawarta pomiędzy nimi umowa na tem polega, że każdy trzyma się strony tretoaru, którą ma na prawo, aby się jeden kolo drugiego przemikał, a prąd pływ-nący ciżby, żeby się nie zatykał i nie ta-mował; nigdy nie wpada do myśli jednemu aby na drugiego przynajmniej wejźrał. Bru-talna obojętność, odosobnienie się ozięble tyl-ko z uwagą na prywatny swój interes, odbi-ja się tem niemilej i w bardziej odrażający sposób, o ile te pojedyncze osoby w szocu-piejszym okręgu tłoczą się. Chociaż się to wie, że to odosobnienie się indywidualne wszędzie jest idea podstawową naszej spo-leczeńści, przecież nigdzie tak bezwstydnie nie występuje, z taką świadomością o swym by-ciu, jak właśnie w tej ciżbie wielkiego mia-sta. Rozłożenie się ludzkości na monady, z których każda ma oddzielne principium swego życia — a i cel całkiem oddzielny, świat atomowy podnosi się tu do najwyższego szczytu. Stąd też wypływa, że ta walka so-cyalna jest wojną wszystkich przeciw wszy-stkim. Każdy człowiek w drugim szuka tylko przydatnego do zyskiwania subiektu, jeden usiłuje wyciągnąć korzyść z drugiego, a stąd wynika, że mocniejszy coraz silniej przytla-cza słabszego, a mała liczba mocnych, to jest kapitalistów, wszystko dla siebie zagrabia, kiedy siabi, ubodzy, ledwo nago przy życiu pozostają. Londyn w tym względzie nie sta-nowi wyjątku: to zjawienie również się zna-chodzi we wszystkich wielkich miastach i w nich przewrotności naszych urzędów spo-lecznych wybija się najwyraźniej. Ale te nie-korzystne stosunki nikogo bardziej nie przy-gnębają, jak człowieka ubożego. Nikt się o niego nie kłopotuje; porwany i rzucony we wir na bystrzynie, musi się walczyć i si-lić jak może. Spotyka go szczęściem jakie zatrudnienie, to oczekuje go zapłata, która zaledwie wystarcza na utrzymanie w kupie-cia i duszy; nie dostanie roboty, to może sobie krasie, a boi się policzyć to może umierać z głodu. Engels powiada, że w ciągu jego bytności w Anglii przynajmniej 20 do 30 lu-dzi z towarzyszeniem najsilniej oburzają-cych okoliczności z głodu prosto pomarło. Najgorszą jednak jest tu niepewność zagra-

żająca ciągle wyrobnikowi, że w takie poło-żenie snadno wpaść może.

Współubieganie, niestałość stosunków han-dlowych, a stąd zmieniające się ciągle prze-silenia handlowe wywołują to smutne poło-żenie. Współubieganie pomiędzy wyrobnika-mi zniża dzienną ich płacę do najniższego punktu przynajmniej na tak długi czas, do-póki jest tylu wyrobników, że pomiędzy ni-mi przebiegać można i pewna liczba bez za-trudnienia pozostać musi. Niejaka zaś rezer-wa tych niezatrudnionych wyrobników, na-wet w czasie w którym najwięcej było za-trudnień, zawsze się znajdowała. Najniższa płaca, czyli jej minimum zależy od stopnia potrzeb, do jakich człowiek w swoim stano-wisku przywykł. Stąd według rozmaitości wszystkich gałęzi zatrudnień płaca jest naj-wyższa dla pracowników przemysłowych, bo ich potrzeby przez to są kosztowniejsze, że oni należą do klasy mającej więcej wy-kształcenia. Pod tym względem bardzo szko-dliwy wpływ wywiera wychodźstwo irlandzkie. Irlandczyk przyzwyczajony jest okrywać swe ciało byle lachmanami, przywykł miesz-kać z całą swą rodziną i ze świnią, do których tak przywiązany jest niemal jak Arab do swego konia, w jednej i tej samej izbie, albo raczej w jednym chlewie; żyje samymi kartofflami i to jeszcze w małej ilo-sci; ma więc przed rodomitym Anglikiem pierwszeństwo w przyjmowaniu do pracy, przy której gra rolę prosta tylko siła czło-wieka — dlatego, że zadawała się mniejszym wynagrodzeniem. Ze spadaniem dziennej pla-cy, spadał ciągle i wyrobnik jako członek społeczeństwa; przez wzrastanie liczby wy-robników wielu z nich zostało bez chleba. Kryzysy handlowe nie mają swej podstawy w jestestwie przemysłu i współubiegania się. Przy dzisiejszej nieregularnej produkcji i przy rozdzielaniu artykułów żywności-o-wych, które pomyślano nie tylko na zaspo-kojenie rzeczywistych potrzeb, ale także dla pieniężnego zarobku, obok systemu, podług którego każdy na swoją rękę pracuje i wzo-bogaca się, raz po raz musi się zdarzać zata-mowanie ruchu. Anglia np. zaopatruje mnóstwo krajów najrozmaitszymi towarami. Lu-bo więc fabrykant wie ile z każdego arty-kulu każdy kraj corocznie spożywać może, przecież jednak nie może wiedzieć, ile tam wysyła jego konkurenci. On jest w stanie tylko z ciągle wahającą się ceną wyciągnąć wniosek domniemany, ale bardzo niepewny, w jakim stosunku zostają zapasy do potrze-by i dlatego musi wysyłać swoje towary na chybił trafił. Wszystko dzieje się na oślep, po omacku a pod chorągwią nieprzewidywal-ności i przypadku. Za usłyszeniem jakiejś ta-kiej pomyślnej nowinki wyprawia wszystko, co tylko może — mało czasu upłyne a targ towarami przepelniony, sprzedaż się zaty-ka kapitały nie wpływają na termin, ceny spadają na łeb na szyję, a nareszcie prze-mysł angielski stanął i nie ma zatrudnienia. W początkach rozwijania się przemysłu, za-tamowania w handlu osiągały tylko niektó-rych gałęzi fabrycznych i zdarzały się na ma-le liczbie rynków, ale przez działalność cen-tralizowaną, współubieganie się o zatrudnie-nia, które nie potrzebują usposobionego wy-robnika i przez to, że towary niepożbyte na jednym rynku nie znajdują drugiego rynku zapewniającego zbył, namnożyło się coraz więcej drobnych krz handlowych, które za-częły tworzyć szereg bardzo złego i szero-kiego wpływu stanowiący jeden ogromny. Taki kryzys zjawia się prawie co pięć lat po krótkim kwitnieniu lepszego bytu ogół-nego; targ krajowy jak i zagraniczny zapel-niony jest towarami i zaczyna odchodzić niezmiennie zwolna. Wtenczas cały ruch prze-

mysłowy utrzymuje się na wszystkich sta-nowiskach; drobni fabrykanci i kupcy, któ-ry nie są w stanie wytrzymać bez powrotu do nich kapitału rozwiązanego, bankrutują wielu zaś zatrzymują w biegu swoje maszyny i operacje przez czas niejaki. Tymczasem płaca dzienna wyrobnika zniża się do ostat-niego szczebla, powszechna nędza pada na ludzi pracy, instytucje dobroczynności prze-pełniają się, podatki na utrzymanie ubóstwa muszą rosnać, a wszystko nie jest w stanie zapobiec głodowi i oczywiście na czas niejaki ukazuje się przełudnienie ze wszystkimi swymi skutkami. Wyrobnik bez zatrudnienia bez chleba w świat popchnięty, musi prze-myślić, jak przebrać z oplakany ży-ciem do szczęśliwszej pory. Niejedyn zaha-czy się przy byle zatrudnieniu, w którym do-pomaga znowu do jeszcze większego zniżenia płacy dziennej, drudzy nędźniejszą a nareszcie przechodzą do lepszego świata.

Engels oskarża średnią klasę angielską, że gdy się zna dobrze na tem wszystkim, a nie myśli o środkach zaradczych, dopuszcza się wyraźnego socjalnego rozboju. Suchoty, słabość płuc, tyfus i rozmaite inne choroby, zdaniem lekarzy są następstwem podobnie nędznego stanu rzeczy. Nieregularna dieta, zły pokarm pociągający za sobą zgnębnie skutki. Do tego dochodzi szkodliwy zwyczaj pojenia dzieci wodką a nawet i opium, a z tego wszy-stkiego plus jeszcze rozmaite inne okolicz-ności muszą wyraść słabowite i chorobliwe pokolenia. Wszyscy wyrobnicy angielscy z małym bardzo wyjątkiem mają niesłychanie słabe żołądki a ich położenie, szczególnie po-karm nie dozwala nigdy wzmocnienia. Nad-to wyrobnik nie może pomyśleć nigdy o po-rządnej kuracji, bo skądże by brał lekarstwa. Ucieka się do rozmaitych rozpowszechnio-nych lekarstw, które jakkolwiek same prze-się nie są szkodliwe, przecież przez swe czę-ste i długie używanie, choroby, którą miały zniszczyć, jeszcze bardziej podnoszą. Bardzo to rzadki przypadek, żeby wyrobnik dosię-gnął późnej starości, już przez to i podobne wpływy niezmiennie się przedzierała szere-gi proletariackie, lubo nie w stosunku ich rekrutowania się, — do tego przyczyniły o-gromne marnowanie się dzieci. Mąż i żona muszą być ciągle poza domem, dzieci muszą zostawać pod obcym dozorem, który zwykle bardzo słabo zastępuje rodzicielską opiekę.

Co za opadnięcie na duchu z tego wszy-stkiego, a szczególnie z tej niepewności wzglę-dem swego położenia, musi wpływ wywierać na wyrobnika. Żyje on dobrze, dopóki ma należyty zarobek. Robieniem oszczędności głowy sobie nie zawraca, boby się to na nie nie zdało. Oszczędności wszelkie z jego stro-ny mogą być tylko drobniautki i nie potrafią mu zabezpieczyć utrzymania przez czas, w którym będzie bez roboty. Najgłębszym źró-dłem opadnięcia na duchu jest przymusowa robota. Jak dobrowolna produktywna praca przynosi największą rozkosz, tak przymuso-wa jak najprzekrętszą, najbardziej upoka-rzającą męczarnię.

Wyrobnicy, lubo niewiele pomiędzy nimi umie czytać, rozumieją bardzo dobrze swój interes i interes mieszczaństwa; stosunki roz-winęły ich umysł praktycznie tak dobrze jak szkoła, tylko że się zupełnie uniesły z pod wpływu religijnego i nienawidzą swych du-chownych. Nie mają żadnego poszanowania dla porządku społecznego, bo utrzymują, że przeciw nim wymierzony i że się tylko prze-ciwnim zaważają; walczą ciągle przeciw ca-łemu społeczeństwu, a wykaz przestępstw kryminalnych co rok większy w tabelach, jest bardzo wyraźnym dowodem tego. For-mują się zwolna mające się spotkać obozy, jeden mieszczan a drugi proletariusz.

(c. d. n.)

Jan Szczepański

O orientację w rozwoju kultury na wsi^{*)}

(artykuł dyskusyjny)

1. Z HISTORII OŚWIATY NA WSI

W r. 1770 biskup Massalski ogłosił konkurs na temat „Jakie nauki należałoby dawać kmiotkom?”. Nagrodzono pracę księdza A. Popławskiego, który uważa, że nauki te powinny mieć na celu pożytek fortun szlacheckich. W tym fakcie znajdujemy jasne stanowisko klasowe, które nadawać będzie piętno pracy oświatowej na wsi przez cały wiek XIX. Bo przecież i słynna Komisja Edukacji bardzo podobnie określi zadania szkółek wiejskich. Wszystkie próby szerzenia oświaty dla ludu podejmowane w pierwszej połowie XIX wieku, przez oświeconą szlachtę, były wyrazem albo czy-sto się przejawiającego interesu klasowego, albo też przesłoniętego delikatną zasłoną fi-lantropii społecznej. Z czasem ta filantropia przybierze postać obowiązku społecznego, wykonywanego przez „starszych braci” wo-bec ludu, który należy przygotować do przy-szłych zadań. Wystarczy porównać takie wy-dawnictwa jak „Kmieć prosiowski” F. B. Piekarskiego z 1811 r. czy też „Piegrzym z Dobromila” I. Czartoryskiego z 1818 r. żeby zobaczyć w jaki sposób wyobrażano sobie kulturalne potrzeby ludu.

Nowe tendencje wniosło Towarzystwo De-mokratyczne, którego działacze, przekonani

że, że praca oświatowa jest niezbędnym wa-runkiem przygotowania do pracy politycznej. Tragiczne doświadczenia demokratów, stwier-dzających, że lud znajduje się poza narodem, że „lud należy dla polskości pozyskać”, pro-wadzi do szukania drogi i sposobów „wpro-wadzenia ludu do narodu”, wykorzystania jego sił dla budowania narodowej przyszo-ści. Romantyczna to była droga, prowadząca przez takie hasła jak „zdobywanie umiejęt-ności ludu” gdyż „polski lud to ojciec twój”.

Ideologia pozytywizmu, przeciwstawiająca się romantyzmowi, wnosi nowe elementy do oświaty ludowej. Kładąc nacisk na elementy zawodowe i praktyczne, pozytywści nie po-dzielają wiary romantyków, że „oświata ludu dokona cudu”, lecz dążą do takiego pokiero-wania pracą oświatową, aby położyła pod-stawę pod rozwój siły gospodarczej na-rodu. Idealem pozytywistów polskich jest silne ekonomiczne mieszczaństwo zachodniej Europy, stojące wysoko społecznie i politycz-nie, dzięki swej organizacji i mocy gospodar-czej. W hasłach oświatowych pozytywizmu znajdujemy odbicie tych ideałów. „Bogactwo podnosić, waśń wewnętrzną łagodzić”, orze-kało jedno z hasel pozytywizmu.

Na gruncie hasel pozytywistycznych wyra-stała działalność oświatowa na wsi wielu to-warzystw powstałych w drugiej połowie XIX wieku. Zdawano sobie sprawę, że nie można zbudować silnego narodu, w którym niżej klasy, chłop i robotnicy, będą stali na tak niskim poziomie kulturalnym, że nie będą mogli brać udziału w życiu narodu. Stąd działalność takich instytucji oświatowych jak: Stowarzyszenie Gwiazda, z 1869 r., Stowarzyszenie Szerzenia Oświaty po wsiach, założone w 1870 r. Towarzystwo Oświaty Lu-dowej założone w 1881 r., Macierz Szkolna, założona w 1882 r., Towarzystwo Czytelni

Ludowych z 1880 r. była filantropijnym dzia-łaniem ludzi kierujących się motywami soli-darystycznymi, starających się wprowadzić jakąś część ludu do udziału kulturalnego w życiu narodowym.

W Polsce tego okresu obserwujemy zjawis-ko, przewyciężania celową akcją filantro-pijną warunków feudalnych, tych warun-ków, które na zachodzie Europy zmiołły zwy-cięski rozwój kapitalizmu. Kapitalizm w kra-ju u nas rozwijał się z opóźnieniem i inaczej niż na Zachodzie. Nie powstały w Polsce wielkie miasta i fabryki potrzebujące wolnej siły roboczej, stojącej na dostatecznym po-zio-mie, by móc ją wpręgnąć do pracy w prze-mysle. Kapitalizm w Polsce był typu kolo-nialnego i żądał robotnika najciemniejszego, podatnego na najgorszy wyzysk. Nie było polskiego państwa kapitalistycznego wpro-wadzającego powszechne nauczanie i inne reformy oświatowe. Taki kapitalizm nie stworzył dlatego w Polsce tych warunków, w których zamożność wyzwolonych chłopów mogłaby się podnieść szybciej i wyżej, jak to dokonało się z pewnymi odłamami ludno-sci wiejskiej na Zachodzie. Dlatego dążenia uświadomionych przedstawicieli klas wyż-szych, przez cały wiek XIX, łączące się z róż-nymi postępowymi ruchami społecznymi, mają na celu jednostronne oddziaływanie na „lud”, ażeby dać mu początki umiejętności, potrzebnych do rozbudzenia własnych dążeń i świadomego nimi kierowania. W każdym razie jest to działalność filantropijna klas wyższych, w której chłopci są tylko przed-miotem oddziaływania.

2. WYZWOLENIE RUCH CHŁPSKI I JEGO DĄŻENIA KULTURALNE

Obudzony i zorganizowany przez działaczy klas wyższych polityczny ruch chłopski, roz-

począł na przełomie wieków nową walkę o podniesienie oświatowe wsi. Podjął on tę samą walkę z przeżytkami feudalny-mi, których nie zburił w Polsce kapi-talizm, a którą okazały się przeszkodą, tamującą rozwój ruchu chłopskiego, nadająca mu zupełnie swoiste piętno społeczne, ideologiczne i polityczne. Zarów-no ruch wyzwolenicy robotników, jak i chłopów stawiał sobie wielkie zadania społeczne i kulturalne. Oba ruchy przechodziły w początkach przez okres utopijny. Kiedy ruchy robotnicze, po doświadczeniach i walkach w pierwszej połowie wieku XIX (zwłaszcza w Anglii), zdali sobie sprawę, że wyzwolenie robotników może się dokonać tylko siłami samych robotników, i przystosowały się do tego zadania ideologicznie i taktycznie — nie pozostało to bez wpływu na samodzielną ruch chłopski. Patrząc na główne tendencje, nur-tujące ruch chłopski w Polsce, możemy do-strzec wyraźnie ten moment, kiedy pod działaniem różnych warunków zjawia się hasło podniesienia wsi siłami samej wsi.

Hasło to jednak miało zupełnie inny sens historyczny, niż w zastosowaniu do klasy robotniczej. Istniała zasadnicza różnica między klasami chłopskimi a wszystkimi innymi klasami, jakie kolejno występowały na arenie historii i wytwarzały określone typy spo-łeczeństw i kultur. Chłopi istnieli we wszy-stkich typach społeczeństw, a w okresie tworzenia się społeczeństwa feudalnego, we wczesnym średniowieczu, grali już ważną rolę, nie mogąc jednak zdobyć takiego znaczenia, społecznego, jakie zdobyło rycerskie zie-mianstwo, i popadając w jego niewolę. Ustrój feudalny przewyciężony został przez miesz-czaństwo, które obaliwszy feudalizm w sze-regu krwawych rewolucji, stworzyło spo-łeczeństwo kapitalistyczne, z innym ustrojem

^{*)} Tezy z przemówienia wygłoszonego na zjeździe wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Brusie. Artykuł prof. Szczepańskiego drukujemy ze względu na ważność postawionego w nim zagadnienia roz-woju kultury na wsi (a w szczególności społecznej funkcji świetlicy wiejskiej). Nie ze wszystkimi te-żami Autora zgadzamy się i dlatego traktujemy artykuł jako dyskusyjny, sądząc, że wywoła on wiele wypowiedzi uzupełniających i wyjaśniających do końca zagadnienie rozwoju kultury na wsi.

Redakcja

i inną kulturą. Chłop zdobył wolność polityczną, lecz o ile nie wszedł do klasy kapitalistów wiejskich, popadł w niewolę ekonomiczną kapitalisty. Znowu na grzbiechach chłopskich pisano historię, nie dopuszczając chłopu jako klasy do czynnego jej tworzenia. Przewyższenia ustroju kapitalistycznego dokonuje klasa robotnicza, która, wychodząc z dna społecznego na początku wieku XIX, rozwinięła się jako wielka siła społeczna, zdolna do rewolucyjnego przekształcenia świata, stworzenia nowego społeczeństwa i nowej kultury. Wraz ze zwycięstwem klasy robotniczej zaczyna się nowy okres w historii klas chłopskich. Zjawia się szansa historyczna dla odegrania twórczej roli w dziejach narodu.

Wyrasta ona ze zbieżności dążeń zachodzących między tymi klasami. Rewolucja robotnicza mogła być skuteczna tylko przy poparciu „nowego wydania wojny chłopskiej” — jak się wyraził Engels. Lecz zanim dojrzało do zrozumienia w szeregach chłopskich, ruch ludowy przeszedł drogę, walcząc z pozostałościami feudalnymi na wsi polskiej. Z tej walki też wyrastały dążenia kulturalne ruchu ludowego. Dlatego wydawało się działaniem

czym ludowym, że ruch ludowy może się ograniczyć do dawnej i własnej kultury ludowej. Szukając sposobów przewyższenia upośledzenia społecznego i kulturalnego wsi, przez podkreślanie godności człowieka chłopu, tak nieudolnie poniewieranej w ciągu wieków, ruch chłopski zwracał się do tego dorobku wsi, wytworzonego w ciągu tysiącletniej historii klas chłopskich — do kultury ludowej. Był to przedmiot dumy chłopskiej, że to co było najpiękniejszego w poezji Mickiewicza i muzyce Chopina, pochodziło z dorobku kultury ludowej. Lecz mimo to, że kultura ludowa, kultura mas pracujących jest odwiecznym i nigdy nie wysychającym źródłem zasilającym twórczość kultury narodowej, nie mogła ona spełnić tej roli, jakiej od niej się spodziewał wywołujący ruch ludowy z przodu, rewolucyjnym ruchem klasy robotniczej na czele. Była to kultura tradycyjna, przekazywana tradycją ustną, kryjąca w sobie wielkie skarby, lecz nie nadająca się zupełnie do spełnienia tej roli, jaką jej historia wyznaczała, roli odrodzenia kulturalnego wsi, wyrównania jej upośledzenia i dorównania twórczym współczesnym zadaniom, walczącym z ustrojem kapitalistycznym

klas robotniczej i chłopskiej i niosących w sobie treść do zbudowania kultury nowego ustroju. Robotniczy ruch socjalistyczny opierał się na postępowym, rewolucyjnym dorobku kultury europejskiej, przemawiał jej cele i kontynuował jej tendencje rozwojowe. Stąd oświata robotnicza wprowadzając robotnika w hasła i problematykę ruchu socjalistycznego, wprowadzała go w wielki, nowoczesny prąd społeczny i kulturalny, idący przez cały świat prąd postępowy, otwierający robotnikowi szeroki horyzont spraw międzynarodowych i dający perspektywę na wielkie procesy historyczne. Natomiast kultura ludowa nie mogła spełnić tego zadania. Wiś podnosiła się przez kapitalistyczny postęp techniczny, i takie podniesienie gospodarce, przez zorganizowanie polityczne i wykorzystanie liczebności klas chłopskich jako narzędzia walki politycznej w granicach ustroju demokracji liberalnej.

Teoretycznie istniały w latach międzywojennych dwie drogi rozwoju przed wsią polską: albo w ramach społeczeństwa i gospodarki kapitalistycznej organizować się gospodarczo, stawiając sobie jako wzór tę drogę rozwojową, którą przeszła n. p. wiś duńska,

lub też korzystając z nowych perspektyw, jakie otwierała gospodarka kolektywna, rozpocząć w Związku Radzieckim szukać wyjścia w tym kierunku.

Tendencja sił burżuazyjno - ziemiańskich szła w kierunku kapitalizacji wsi (co w praktyce oznaczało: dekapitalizację). Ruch ludowy poszedł tą drogą. Ideologicznym tego wyrazem był agraryzm, jako konsekwentna a w rezultacie wyrodniejąca forma ideologii chłopskiej w polskich warunkach międzywojennych. Bo trzeba pamiętać, że ruch ludowy walczył jeszcze z pozostałościami feudalizmu, że kapitalizm uważał go za swego sprzymierzeńca w walce z obszarnikami. Pokutowały w ruchu ludowym te same utopijne złudzenia, które kazały ruchowi robotniczemu w Anglii przed 1832 r. popierać mieszczaństwo w walce z torysowską reakcją. Dlatego ruch ludowy kulturalnie nawiązywał wstecz do własnych zachowawczych tradycji ludowych i jakkolwiek uczył chłopów szacunku dla własnego dorobku kulturalnego, dawał mu poczucie godności i własnej wartości, pchał go do zrostu z przeszłością, wartościami pielegnianymi, rozbrajał go wobec zadań przyszłości.

Wtedy to ruch ludowy zaczyna wytwarzać własne instytucje kulturalne, pojawiają się domy ludowe i świetlice na wsiach. Zadania ich były określone w różny sposób: najogólniej można powiedzieć, że były one instytucjami uświadamiania kulturalnego bardziej jeszcze warstwy chłopskiej niż antagonizujących, walczących klas chłopskich. Są one jedną z wielu różnych form pracy oświatowej, jaka zaczyna się na wsi. Obok szkolnictwa powszechnego, szkół rolniczych, powstaje nowy typ instytucji kulturalnej ruchu ludowego — uniwersytet ludowy.

Piotr Wyrobek

W ROKU MICKIEWICZA

(Wspomnienia)

W trwałym „Roku Mickiewiczowskim”. Kiedy ożywały badania i edycje dzieł poety, kiedy upo- wszechnienie jego poezji i wiedzy o niej stało przed nami jako zadanie narodowe, należy również zdać sobie sprawę ze stopnia dojrzałości mas ludowych do powszechnego przyjęcia Mickiewicza. Zbieżność to nie przypadek, że Polska Ludowa oddaje Mickiewicza narodowi i że mas ludowe biorą go powszechnie. Wspomnienia Piotra Wyrobka, 78-letniego starca, przypominają wiek ciemnoty na wsi, wiek zatem nieuchronnej rozłąki ludu z ludowym i narodowym poetą. Wiek zmagania się o przybliżenie do niego i wejście w powszechne posiadanie jego myśli i piękna. Starzec wspomnienia bezpośrednie, obejmujące 60 lat, zamyka w jednym tuku, drugi, na przyszłość, otwiera od wyzwolenia Polski po drugiej wojnie światowej, od rewolucyjnych jej przemian.

Jest w tym doświadczeniu osobistym starca, wielka, przełomowa prawda. P. Ch.

Rozwijać z mojej mózgowicy zwoj wspomnień, by wydławić je na papier, by zrobić miejsce dla innych wspomnień, albowiem w dużej przestrzeni czasu mego życia nagromadziło się ich moc.

W mojej młodości może „sielskiej i anielskiej” dla innych, lecz nie tak radosnej dla mnie, młodości chłopiejszej, słuchało się opowiadań starych — jak ja dzisiaj — chłopów, też o rzeczach niewesołych i przykrych — w te długie zimowe wieczory o roku „straszonym” czterdziestym szóstym. Były też w tych opowiadaniach wspomnienia wojenne moje- go ojca, jak na te wojny z braku kolei musiało się maszerować pieszo lub na koniach do Włoch i dalej jeszcze; były opowiadania o chłostach bykowcami za pańszczyzny, o kłajach wyasnogowanych hajdukami przez mandatariuszy austriackich na chłopów. Nie małe zaciekanie wzbudzało to, co słyszało się o „czarownicach”, które różne „ziela” skuteczne na dojdność krów zbierały na Babiej Górze i roznosili po chałupach, a kobiety kupowały je ze strachu przed nimi, zachęcone też własnym zabobonem. Wielką jednak i przejmującą grozę wywoływały opowiadania o głodowych „rokach”, kiedy to ludzie dla braku pożywienia z plonów, które się nie udały, bo lata były to suche, to znowu mokre, jeździli po jakiegokolwiek ziarno „na stronę węgierską” aż do Koszyc, lecz nieraz i tam nie można było go kupić, gdyż i tam wyczerpały się zapasy. Wrócili więc z niczym — beznadzi — co począć. Żywić się musieli ludzie na wsiach podhalańskich różnymi trawami i korzonkami roślin, co przyczyniało się w dużej mierze do masowego występowania epidemicznych chorób — jak tyfus głodowy czy cholera, na przełomie połowy XX stulecia. Po tych katastrofach głodowych pozostały na uboczech wsi cmentarzyska choleryczne, świadczące o ogromie klęski głodowej.

Wtedy i później rodziny biedniejszych chłopów zadłużały się u bogatszych, dając im swe grunta w zastaw za ziarno. Zastaw ten jednak był tylko pozorny, bo grunty zastawione nigdy już odzyskać nie mogli, spadkobiercy tych zmarłych na cholere rodziców. W Osielcu był taki wypadek na roli Marawowej, gdzie niejaki Stanisław (czy Józef) Bogacz zwany Capek od „karbowego”, trzymał w zastawie trzy najlepsze kawałki pola za wypożyczone 30 reńskich.

Gdy w r. 1887 szewc z Makowa, niejaki Józef Ceremuga ożenił się z Marysią Szklaną naszą sąsiadką, a dowiedział się o tym, poprosił mnie, bym o tym zastawie napisał do sądu, co też uczyniłem (miałem wtedy lat 16), a skutek był niezawodny, bo się widziało potem tego Bogacza, jak chodził na wezwanie kilkakrotnie do sądu i nie pomagały mu żadne wykrety, bo naczelnik sądu jordanowskiego wydał nakaz oddania gruntu bez żadnego pardonu i bez zwrotu pożyczki. Nie jest to przyjemne wspomnienie, gdy udało się w życiu komuś coś dobrego zrobić?

Różne zjawy z przeszłości życia ludzkiego budzą człowieka w nocy nieraz, jak huk tej tu śpiewki góralskiej, niegdyś podsłyszanej:

Hej, — były to czasy!
nie dziś to, ni wczora —
Wtedy, kiej wyganiał
łowicki z kosora!
— Wej — patrz kany som
i przecierom łocy —

Spać mi się strasznie kee —
— cóż to robił w nocy?
Hej! — jo z łowieckami
po jałowcach hasał,
Bił mnie za to łocieć —
bok źle łowce pasał. —

Zdawałoby się, że to jakaś beżmyślna śpiewka, a tymczasem jej sens zawiera też wspomnienie: pastuch źle pał, skoro owce rozpuścił po jałowcach i błąkały się tam gdzie dla nich nie było paszy — więc ojciec nie puścił mu tego płazem, bo powinien je puścić po „pajskim” lesie lub jakiejs łące. Wszak powiadali starzy już po zniesieniu pańszczyzny, kiwając głowami: „ta pajszczyzna była wiec nieraz nie dla chłopów biednych, bo było co i ukrasć i wiedziało się gdzie — bez wielkiego kłopotu”.

Dobrze się teraz dzieje, że rejestruje się analfabetów, tworzy się dla nich przymusowe kursy nauczania — odrabia się zaniebawiania przeszłości, kiedy to była ciemnota z nieodłączną nędzą na wsi, kiedy chłop modlił się, pracował i nie z tej pracy nie miał, więc podkładał. To było zjawisko społeczne ogólne, więc nie na samym tylko Podhalu występujące. Utkwił mi w pamięci ten 60-letni już okres czasu, gdyż panowała na niej nieodłączna ciemnota, o oświecenie nie można było myśleć, bo nie dąbały o jej wprowadzenie klasy panujące, a i chłop nie widział jeszcze w niej dla siebie pożytku, i wtedy, kiedy w r. 1890 największego z poetów prochy składano uroczystość obok królów w wawelskiej katedrze.

Utkwiło mi w pamięci przemówienie pewnego wójty ze znanej mi dalszej wsi, wygłoszone w czasie uroczystości poświęcenia budynku szkolnego. Wójt zachęcony do przemówienia jako przedstawiciel wsi powiedział: „Rzekę prawdę, ale szkoła jest potrzebna — jedno trza se tak zawiadować, co by dzieci do niej nie chodzący — wtedy, kiedy robota w polu i pasienie bydła jest!” Zyczyła sobie gromada, by to powiedział wobec inspektora szkolnego, który zjechał na tę uroczystość.

W młodych latach obserwowałem życie nauczycielstwa wiejskiego, wdziałem przyczyny odstręczające od wsi absolwentów seminariów nauczycielskich, którzy woleli dokształcać się na inżynierów (Joachim Traczyk z Oselca, posełdł w jego ślady Michał Bugielski ze Stryczowa) na lwowskiej politechnice, lub inni, którzy woleli iść do pracy w innym zawodzie — szli więc nawet ci najzdolniejsi z maturami z odznaczeniem — do kolei, jako dla niektórych najintrygującej, do poczty, do sądownictwa, bali się bowiem ciemnoty na wsi ówczesnej, a i wiś cierpiała na tym... Odstręczała ich niska płaca początkowa — te 15 reńskich na miesiąc! Odstręczała także może też nędza spowodowana nieczytelnością i niekoleżeńską zadróżdą ze strony nauczycieli-kierowników na niskim poziomie stojących szkół wiejskich, przeważnie 1-klasowych, gdy ktoś ze wsi wiedziony litością młodszemu nauczycielowi chciał dać (za darmo oczywiście) kapkę mleka, garnuszek masła lub kilka jajek. Znałem takich, którzy stawali się u kierowników, placąc za wikt 10 reńskich miesiecznie, za śniadanie służyła im zaś sucha plecienka i szklanka herbaty gotowanej na maszynce — tak samo było z kolacją — to było kosztem tych 5 reńskich z owych 15-tu, ale nie wszyscy mogli korzystać z pomocy rodziny, by ta resztą zapłacić mieszkanie, gdy go dla nauczyciela pomocniczego nie było w danej szkole — lub kupić sobie ubranie i obuwię, światło i opał, gdyż i kawałkiem drewna szkolnego opałowego nie chciał się podzielić z nim nielitościwym nieraz kierownik. Może też z zazdrości nieraz, że ten młodszy nauczyciel był już lepszą od niego siłą pedagogiczną i z tego powodu lepiej się podobał wsi, że lepiej umiał podchodzić do dzieci i lepiej je uczył. Taki kierownik był rad pozbyć się takiego, co mu zawadzało i cieszył się, gdy ten zrazony niepowodzeniem z posady odszedł. Cóż jednak powiedzieć o takim nauczycielu jak znany mi z bliska — ów śp. Bonawentura Gaik, syn górnika z Bochni, który przed pierwszą wojną światową i później był kierownikiem szkoły ludowej w Toporzystku koło Jordano-

wa, bo ja nie mam słów uwielbienia dla niego, że mimo takiej nędzy, w jakiej żył, jako nauczyciel w Osielcu, Bienkówce, gdzieś tam jeszcze potrafił wytrwać na posterunku.

Szkoła za moich czasów była jeszcze jednoklasowa, o jednej sile nauczycielskiej a 6-ciu latach nauki w 3 oddziałach. Był oddział niższy i wyższy w każdej klasie, więc siedziało się w każdym oddziale dwa lata. Nauka trwała od 8 godz. rano do 12 w południe. Po południu od godz. 2 do 3 uczyły się dzieci z pierwszych 2-3 lat nauki. Choć nieregularnie posyłało mnie do szkoły, bo też była przy gospodarce wszelaka dla mnie robota w polu jak i pasenie bydła, byłem uczniem celującym i miałem wielką ochotę i zamiłowanie do nauki. Nieraz mogłem zastąpić już nauczyciela, gdy go jakaś przeszkoda odrywała od zajęć szkolnych, a nie miał zastępstwa na miejscu ani urlopu, a musiał wyjechać do miasteczka w nagłych wypadkach zachorowań w rodzinie itp. Cieszyłem się z tego, a po wyjściu ze szkoły słyszałem jak o mnie mówiono, że potrafił dorównać wiedzą tym, którzy ukończyli 6-tą klasę gimnazjalną (oczywiście bez obcych języków). Niemieckiego uczyłem się w wolnych chwilach w domu po opuszczeniu szkoły, sam sprowadziwszy sobie z Warszawy podręcznik (metoda Reusnera). Ten nauczyciel, który mnie w szkole uczył, awansował na kierownika 4-klasowej szkoły w Zawoi, gdzie miał pod nadzorem 3 szkoły 1-klasowe w przysiółkach tej wielkiej wsi, liczącej przeszło 12 tysięcy mieszkańców.

Istnienie szkoły w Osielcu wiąże się z czasem erekcji parafii w r. 1848 w tej wsi, która należała po 1560 do parafii makowskiej i jest też wynikiem zdobyczy „Wiosny ludów”. Początkowo parafialna szkoła o jednym nauczycielu-organicie, uczącym w zimie także moich rodziców, przybrała po roku 1873 nazwę szkoły ludowej jednoklasowej, w której nauczali organista i nauczyciel Czyżewski, po nim Franciszek Zabierzeński, a po tym już nauczyciele: Bicz, Sadowski, Baziński i inni. Szkoła mieściła się początkowo w wynajmowanej izbie, na roli Świsłowej, później gdy zbudowano organistowską przy kościele, miała w niej dużą salę, a gdy dzieci z powodu ich przyrostu nie mogły się pomieścić w tej sali, kupiła gmina starą mura- waną karczmę w r. 1886 i nadbudowała ją, urządzając na piętrze domu 2 sale szkolne na stołystwie. Budynek ten trwał do stycznia 1945 r., kiedy to uciekający Niemcy w popłochu spalili go, by nie był przytułkiem armii radzieckiej, która przayła wtedy hitlerowską armię na Podhalu, zmuszając ją do ucieczki na zachód. Cegły zużyto w r. 1947 do budowy transformatora. W okresie powojennym zbudowana szkoła mieściła teraz 7-klasową już szkołę, obecnie mającą już 8 klasę rolniczo-zawodową.

Do dziś widzi się wielki postęp tej wsi już zelektryfikowanej i powoli ale stale dźwigającej się z biedy. Chłopi oświecają się, czytając prócz gazet także książki. Jest we wsi inaczej niż dawniej, gdy, kiedy dzieci chciały coś przeczytać, to im tego zabraniano, bo szkoła było czasu i nafty. Do dziś inaczej, bo już także „Pana Tadeusza” czytają nawet ko- biety wiejskie, z czego cieszyby się Adam Mickiewicz, że jego książki też pod strzechy wsi podhalańskiej zabłądziły. Bo dziś jest we wsi biblioteka, gdy nastąpiła ta Polska Ludowa, o której w czasach niewoli — my młodzi — tak ze łzą w oku marzyliśmy. Młodzię dzisiejsza ma już zapewnioną opiekę państwa, podczas gdy w czasach naszej młodości nie było komu podać nam pomocnej i przyjaznej dłoni, byśmy się mogli systematycznie uczyć.

Jakże jest inaczej, gdy nastąpiła ta Polska Ludowa, gdy młodzież chcąc się uczyć wzięła w opiekę państwo! Piszę o tym z pewną dumą, że dożyłem tych czasów, gdy stoję już na progu wieczności, że w roku Mickiewicza—Słowackiego—Chopina każda wiś nie jest już tak zacofana co dawniej. Bo są już w niej jednej wzorowe szkoły, dziecińce, świetlice, buduje się w niej jednej wygodniejszej domy i zabudowania gospodarskie, zakłada się ośrodki zdrowia i spółdzielczość, tworzy biblioteki i boiska sportowe, by człowiek wsi lepiej i piękniej żył.

3. PRZEBUDOWA WSI A POZIOM I TREŚĆ KULTURY MAS CHŁOPSKICH

Procesy przebudowy społecznej i gospodarczej rozpoczęte wraz z wyzwoleniem z okupacji niemieckiej, zastały dlatego masy chłopskie w dużym stopniu nieprzygotowane kulturalnie. Procesy te przyniosły klasom chłopskim udział we władzy politycznej wraz z klasą robotniczą, otworzyły szerokie możliwości zlikwidowania wszystkich wiekowych upośledzeń wsi, wyrównania krzywd i wejścia na drogę postępu. W czym wyrażało się nieprzygotowanie kulturalne chłopów do tej nowej roli historycznej? Zbyt wielki był odsetek analfabetów na wsi a zwłaszcza wśród kobiet wiejskich, zbyt mała łączność mas chłopskich z dorobkiem ogólnej kultury narodowej i europejskiej, za mała możliwość orientacji w wielkich procesach historycznych, nieskrystalizowana świadomość własnej postępowej, rewolucyjnej ważności społecznej, brak wyobrażeń dostatecznie wyraźnych o własnym miejscu w historii narodu.

Historia wskazuje, że każda klasa, objawiając władzę polityczną lub też doszedłszy do ważności społecznej, stwarzała sobie instytucje kształtujące, wyrównujące poziom i umożliwiające spełnienie zadań dziejowych tej klasie narzuconych.

W okresie międzywojennym ruch chłopski zaczął sobie wytwarzać takie instytucje. Uniwersytety ludowe, koła młodzieży i prowadzone przez nie świetlice miały przygotowywać chłopów do zarysowującej się „agrarności” w przyszłości roli społecznej i politycznej. Teraz jednak, kiedy procesy przebudowy wsi już się rozpoczęły, kiedy klasy chłopskie w sojuszu z robotnikami objęły władzę w państwie, należy tym instytucjom nadać nowy charakter, wynikający z rewolucyjnych zadań stojących przed wsią.

Należy przebudować postawę mas chłopskich, wciąż jeszcze nastawioną na walkę z pozostałościami feudalnymi i nie dość rozumiejącą zadania, wynikające z walki z ustrojem kapitalistycznym. W okresie kiedy głównym wrogiem klas chłopskich był obszar- nik, pleban i przedstawiciel państwa stojącego na straży pańskiego majątku, oraz kiedy działanie kryzysu dosięgałego wiś bezlitośnie przeprowadzało złudne równanie w dół wszystkich warstw chłopskich, w zaciągających się pozorne różnicach w strukturze klasowej wsi, ideologia solidaryzmu chłopskiego mogła odżyć i nabrać siły. Wynikała ona bowiem z walki z ziemiaństwem. Ideologia ta i walka z ziemiaństwem nade- wały społeczno-polityczną treść działalności kulturalnej chłopskich instytucji oświatowych. Wystarczy przejrzyć „Przewodnik” pracy kół wiciowych z okresu międzywojennego, ażeby stwierdzić, jak dalece walka z przeżytkami feudalnymi wyznaczała kierunek i treść pracy oświatowej koł.

Przebudowa wsi rozpoczęła reformami powojennymi, stawia pracę oświatową na wsi przed nowymi zadaniami. Inny kierunek walki społecznej i politycznej, inny kierunek dążeń gospodarczych, wymaga w walce o nowy ustrój pracy planowej stworzenia instytucji stałego oddziaływania, równomierne- go i długofalowego. Praca oświatowa powinna dać chłopu techniczną i naukową podstawę przeprowadzenia skutecznego rozpoczę- tych reform. Nie może urzeczywistnić nowego ustroju klasa posiadająca znaczny odsetek analfabetów, nie może wejść na nowe tory gospodarki klasa odcięta od wiedzy technicznej w swojej dziedzinie, nie może rządzić politycznie klasa nie mająca w swych masach poczucia swego historycznego znaczenia i ważności dziejowej. Zanim mieszczańscy angielski czy francuski sięgnął po władzę polityczną, opierając się na swej mocy ekonomicznej, według słów Woltera „przepojony był dumą i niebezważadnie porównywał się do obywatela rzymskiego”. Klasa nie mająca zrozumienia i świadomości swej roli historycznej nie może rządzić skutecznie, tym bardziej, że znaczenie ekonomiczne klas chłopskich zupełnie nie odpowiada ich liczebności. W ten

Jakiego Mickiewicza znamy?

Rok mickiewiczowski obchodzony współcześnie w Polsce nasuwa konieczność oceny powojennego dorobku wiedzy o Mickiewiczu oraz narzuca nowe postulaty wobec tej dziedziny nauki o literaturze. Ukazały się już cztery tomy wyda-

nia narodowego dzieła Mickiewicza oraz nowe publikacje historyczno-literackie. W związku z Wystawą Mickiewiczowską w Warszawie, wielkim widowiskiem teatralnym „Mickiewicz z nami” oraz setkami obchodów we wszystkich wojewódz-

twach kraju wylaniają się nowe zagadnienia dotyczące dróg społecznego funkcjonowania spuścizny mickiewiczowskiej.

Sprawom tym w najbliższych numerach poświęcimy jeszcze kilka recenzji i omówień.

REDAKCJA

Wanda Leopoldowa

O naukę i prawdę



Henryk Szyper

Wciąż jeszcze jest aktualne pytanie, rzucane przez Stanisława Pigonia po pierwszej wojnie światowej („Przegląd Warszawski”, 1922): „Jakiego Mickiewicza znamy?”

Wówczas pytanie to dotyczyło zniekształceń dokonanych przez wydawców na tekstach poety. Dziś, po blisko 30-tu latach od tego wezwania, otrzymamy wreszcie (oby jaknajszyciej!), kompletne i krytyczne wydanie pism Mickiewicza. Wydanie, w którym nie będzie już brzdęków „przyjacielskiej” cenzury obyczajowej (por. np. A. Chodźko, bajka „Przyjaciele”), ani niesumienność w odczytaniu autografów poety; wydanie oparte na gruntownym sprawdzeniu wydań dotychczasowych, dające sumienną i wnikliwą lekcję trudnych często do odczytania rękopisów, przynoszące niezafalszowany i nieznieskształcony tekst utworów.

Ale pytanie z r. 1922 pozostało ważne przede wszystkim w innej sferze zagadnień. W sferze interpretacji twórczości i życia poety, Mickiewicza, jakiego poznaliśmy w szkole i na uniwersytetach, w sferze tego, co mówiły nam o nim monografie literackie — a negdety Władysława Mickiewicza, okliwy psychologizm Kallenbacha, obledny „Mon-salvat”...

Nie chodzi o stare porachunki. Któżby się jeszcze w tej chwili przejmował Kallenbachem? Już przed wojną, w tej, jak w wielu innych sprawach, Boy-Zeleński napsuł spór krwi oficjalnej nauce uniwersyteckiej. Ale ostatecznie rewizjonizm ten skrytaliżował się we Lwowie w latach 1939-41, w o-wym małym Polskim Piemencie kulturalnym, jak go nazywał w swoich wspomnieniach Henryk Szyper („Kuznica” 15/1946). Wtedy ostatecznie rozprawił się z „dawną” mickiewiczologią Boy („Nowe Widnokreśl”, 1941: „Stare i nowe drogi wiedzy o Mickiewiczu”), wtedy w artykułach i odczytach J. Borejszy, J. Przyborski i in. zaczęto do właściwych proporcji sprowadzać mistycyzm poety i towarzyszące, wtedy przy współpracy uczonych radzieckich i w oparciu o nowe materiały poszerzoną wiedzę o okresie pobytu w Rosji Mickiewicza. W tej atmosferze powstała w latach 1940-41 książka Henryka Szypera: „Adam Mickiewicz — poeta i człowiek czynu. Zarys popularny”.

Obecny rok mickiewiczowski, poza niewątpliwym osiągnięciem, jakim jest „Wydanie Narodowe”, przyniósł szereg potężnych publikacji o Mickiewiczu. Potężnych — gdy patrzymy na leżący na biurku blisko 600-stronicowy rocznik mickiewiczowski „Pamiętnika Literackiego” i zwałiste tomy monografii Kleinera. Niepokojnie wygląda przy nich niewielka książeczka Szypera. Ale niestety znów aktualne staje się przy nich pytanie: „Jakiego Mickiewicza znamy?”...

W tym zestawieniu jeszcze wyraźniej występuje ogromna doniosłość „Zarysu” Szypera.

*) Henryk Szyper — Adam Mickiewicz — poeta i człowiek czynu. Zarys popularny. Warszawa 1947, Sp. Wyd. „Czytelnik”, s. 244.

Jadwiga Iwanowska

Szkodliwa popularyzacja

Niedawno odbywały się matury. I tak się złożyło, że przybiegł do mnie w panice jeden z tegorocznych delikwentów, z prośbą żeby mu coś poradzić do „powtórzenia” Mickiewicza — „bo to, rozumiecie, jubileusz, na pewno coś o Mickiewiczu z polskiego będzie, a podręczników nie ma, i ja w ogóle jestem mechanik, chciałbym potem na politechnikę...”. Poradziłam książkę Szypera. Następnego dnia przybiegł znów zaferowany, komunikując mi, że książkę Szypera w żadnej księgarni nie mógł dostać, jest wyczerpana, znalazł egzemplarz w jakimś antykwariacie, ale chcieli 450 zł., zato wszędzie proponowano mu 2 zeszyty o Mickiewiczu wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Kupił je, bo kosztowały razem tylko 160 zł., ale chciałby się dowiedzieć, czy to będzie dobre. Spojrzałem na nazwisko autora: Stanisław Kolbuszewski, Zamajaczyły mi nie budzące zaufania tytuły dawnych jego prac: „Ziemski Mesjasz Narodów”, „Mickiewicz i Maryla”. W godzinę przeczytałam cienie książeczki. I, powiedzmy od razu, o całej sprawie nie warto byłoby wspominać, gdyby właśnie nie owa cena książki (160 zł.), imponujący nakład 40.000 egzemplarzy (słownie: czterdzieści tysięcy) i typ odbiorcy, dla którego są przeznaczone wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Anons na okładce głosił, że: „Wydawnictwo popularno-naukowe „Wiedza Powszechna” jest potrzebne uczniom różnych szkół, zwłaszcza gimnazjów dla dorosłych, słuchaczom uniwersytetów ludowych i robotniczych, uczestnikom świetlic i kół samokształcenia, samoukiem kształcącym się indywidualnie, poza tym (...) nauczycielom wszystkich typów szkół jako niezbędną lekturę podręczną, studentom wyższych zakładów naukowych, jako lekturę informacyjną, zastępującą częściowo notatki”.

Twierdziłam, że gdyby nie wymienione wyżej powody, nie warty by się zajmować tą sprawą, gdyż dla każdego zorientowanego nieco w historii literatury i badaniach literackich czytelnika książka ta jest tak dalece jaskrawym przykładem przewyżających już wszelkie, nawet w naszej polonistyce uniwersyteckiej, metod badania i interpretacji, tak „wzruszająco” naiwnym wyrazem mętnej „duchowości”, prowadzącej nieuchronnie do mętniactwa stylu, oparów mistycyzmu, a tym samym zafalszowania prawdy historycznej, że uśmiechnąć by się tylko należało (z odrobinką gorczyco co prawda), iż w cichych zakątkach uniwersyteckich pokutują jeszcze (bo chyba już nie prosperują) profesorskie remanenty, dla których naprawdę „czas stał się i odwrócił lica”. Nie chcę być gołosłowna. Oto formuła końcowa, mająca dać syntezę twórczości Mickiewicza: „Mickiewicz był twórcą i wodzem romantyzmu polskiego, ale z wyjątkiem na wskroś romantycznych „Dziadów”, był stale najdoskonalszym klasycyzmem w tym sensie, że posiadał umiar klasyczny, a w dziele jego istniała cudowna harmonia treści z formą” (II, s. 95). Znamy, znamy. Szczególnie ten refrain o „cudownej harmonii treści z formą”. Ale tłumaczenie tego jest proste, skoro jako decydujący czynnik w twórczości poety przyjmujemy natchnienie, wywołane jego osobistymi przeżyciami. O przeżyciach tych zaś wiemy z utworów, a przede wszystkim z „wniknięcia” w duszę poety. Wiemy wtedy nawet bardzo dokładnie, jak powstawały pomysły poety i czy dopisywał mu natchnienie. Tak np. „Konrad Wallenrod” został początkowo porzucony „z braku natchnienia” (I, s. 68), a co do postaci Aldony, to oto skąd się wzięła: „Spojrzeniem głębokim chciał ogarnąć rolę Maryli w swym własnym życiu, gdyż ostre słowa rzucane w „Dziadach” nie mogły być ostatnimi. Wtedy to postać historycznej Klejstutowej zespolała się w jego wyobraźni z postacią tej, którą kochał. W ślad za tym napłynął do poety szereg dawniejszych reminiscencji: chłodnik Aldony, otoczony przez Konrada wierzby — to była altanka Dziadów... Ze tworząc postacią Aldony myślał o Maryli, do-wodził nade wszystko pomysł zamknięcia się Aldony w wieży, z której wyjęć nie mogła i nie chciała — była żywcem pogrzebiona dla Konrada, jak Maryla dla Mickiewicza jako cudza żona” (I, s. 76). A wiecie, co znaczy ustępy 1 i 3 I-ej części Dziadów? „Otóż ustępy 1 i 3 są szkieletowym obrazem przeżytych przez poety i Maryli przed ich poznaniem się. Związku, który by odnależć można między tymi ustępami a ustępem 2, nie widać” (I, s. 43).

A skąd się wzięło Widzenie ks. Piotra w III-ej części Dziadów? „Artystycznie ujęte jako objawienie księdza Piotra, w istocie było widzeniem rzeczywistym Mickiewicza...” (II, s. 27) (podkr. moje).

W istocie przy takiej metodzie proces twórczości poetyckiej nie pozostawia dla nas żadnych tajemnic. Wiemy, co w każdej chwili swego życia myślał poeta. W ten sposób można wszystko wyjaśnić. I oczywiście nie nie wyjaśnić. Bo sprawdzalność takich tez jest chyba... w niebie.

Z nieco innej niły starych błędów, z tzw. wpływo-logii. Np. „Zeglarz” to wiersz „przypominający monolog Hamleta, bo analogicznie rozważa Mickiewicz zagadnienie „być albo nie być...” (I, s. 16).

Charakterystyka tzw. przez autora „formy” utworów jest również interesująca. Oto przykłady. Chodzi o „Grażynę”. „Na tym tle dał trzy sylwetki, scharakteryzowane przy pomocy ich słów, gestów, mimiki i czynów”. Kompozycja „Pana Tadeusza”: „...składa się on z długiego szeregu obrazów większych lub mniejszych, podporządkowanych pewnej naczelną myśli, a tworzących w sumie obraz narodu polskiego...” (II, s. 75). Doprawdy, człowiek zaczyna wzdychać do... formalistów.

I wreszcie „małe” szczegóły, błędy logiczno-językowe: „Ewolucja dokonana się wlewo nagle, ale w istocie bohaterem był nowy człowiek w którym tylko podwiewają dawne reminiscencje” (oczywiście komentarz do „natus est Conradus”). „Część II „Dziadów” ma wyraźnie rozdzielone, choć rozmiarami niesymetryczne, dwie grupy scen” (I, s. 51).

Przykłady z każdej dziedziny można by mnożyć. Ale lepiej streszczajmy. Dwa zeszyty „Wiedzy Powszechniej” o Mickiewiczu („Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji”, „Twórczość Mickiewicza na emigracji”) obejmują łącznie 186 stron. Z tego ok. 110-u przypada na tzw. „wypisy”. Na marginesie warto zaznaczyć, że metoda „wypisów” czy „urywków” z większych utworów, bardzo niebezpieczna w ogóle, w wypadku takich utworów jak „Dziady” czy „Pan Tadeusz”, wydaje się wprost niedozwolona. Te utwory każdy czytelnik polski powinien znać w całości. Jak metoda ta jest niebezpieczna, okazało się dowodnie na przykładzie omawianej książeczki. Dobór wyjątków przez autora wcale nie pomógł mu w zafalszowaniu Mickiewicza. Jeśli z IV-ej części „Dziadów” wydobywa się tylko wspomnienie domu rodzinnego, pożegnania z ukochaną i apostrofy do niej skierowane, łatwiej będzie nie znającemu rzeczy czytelnikowi zgodzić się na komentarz, iż: „Czwartą część „Dziadów” pisał Mickiewicz dla Maryli. Chciał jej uprzytomnić ogrom swej miłości i ogrom swoich cierpień, chciał ją wzruszyć i w pewien sposób pokarać za nieodwzajemnioną miłość. W ten sposób poemat z jednej strony był wspomnieniem i skargą, z drugiej w przyszłość rzutowaną zapowiedzią śmierci poety” (I, s. 58). Gdy w III-ej części „Dziadów” decydującym punktem ciężkości będzie Widzenie ks. Piotra, łatwiej przyjmujemy długie rozważania na temat rozszyfrowania 44 i powiązań z Saint-Martinem (a przypominam, że na komentarz do całej twórczości Mickiewicza przypada tylko 76 stron!). Jasne jest chyba w świetle tych przykładów, że na owych 76-u stronach dominuje Mickiewicz — mistyk i kochanek Maryli. Jasne, że wśród postaci przewijających się przez biografie poety najwięcej miejsca poświęcono Oleszkiewiczowi i Towiańskiemu. O Towiańskim pisze się tymi słowami: „Andrzej Towiański (1799—1878), student uniwersytetu wileńskiego w tych czasach co Mickiewicz, potem urzędnik sądowy, właściciel rodzinnego majątku, nie-zwykle uczciwie i łagodnie postępujący z chłopami(!!!), poczuł w pewnym momencie, że spoczywa na nim posłannictwo nałożone przez Boga i że realizację tej misji podjąć mu trzeba na terenie międzynarodowym” (II, s. 82) I pisze się to zupełnie serio w „roku pańskim” 1946! Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że na tych skąpych 76-u stronach znalazło się miejsce, by wspomnieć, iż wśród 11-u dukatów, które Mickiewicz dostał od matki na drogę do Wilna, jeden był z wizerunkiem Matki Boskiej... (I, s. 3).

Zapewne zbyt wiele miejsca poświęciliara przykładom z tej książeczki. Ale przypomina nam raz jeszcze cenę, nakład, brak podręcznika brak innego, dostępnego na rynku popularnego opracowania całej twórczości Mickiewicza. W tym zestawieniu zabawna skąd inąd książeczka prof. Kolbuszewskiego zaczyna niepokoić. Czy nie warto by uczcić rok mickiewiczowski m. in. przez wycofanie jej ze sprzedaży?

Władysław Ozga

BUDOWNICTWO SZKÓŁ WIEJSKICH*

Potrzeby w zakresie budownictwa szkolnego są olbrzymie. Według przewidywanych danych uzyskanych ze szkół przez Wydział Budownictwa Min. Oświaty na podstawie ankiety: „Inwentaryzacja budynków i lokali szkolnych” w dniu 1 listopada 1948 r. wypadło na 1 ucznia szkoły podstawowej tylko 13 m² przestrzeni szkolnej w budynkach własnych i wynajętych, gdy racjonalna forma powinna wynosić 35 m² na ucznia, a minimalna norma przewidziana w okresie planu 6-letniego dla pierwszego etapu budowy określona została na 20–22 m² na ucznia. Na podniesienie tej normy pomieszczeń szkolnych w drodze budowy nowych szkół potrzeba byłoby około 200 miliardów złotych. Oczywiście kwoty takiej w okresie planu 6-letniego nie uzyskamy. Na budownictwo szkół stopnia podstawowego będziemy mogli przeznaczyć około 53 miliardów złotych ze środków skarbowych. Jeśli doliczymy do tej sumy około 13 miliardów środków własnych samorządów, to otrzymamy kwotę 66 miliardów złotych, w granicach której będziemy mogli planować w okresie 6-letnia 1950–1955 budowę szkół. Dodatkowe zmobilizowanie środków społecznych pozwoli na uzyskanie większych wyników w dziedzinie budownictwa szkolnego. Środki te muszą być oczywiście włączone do planu.

Wielkie potrzeby lokalowe szkół wynikają również z danych opracowanych przez Biuro Statystyczne Min. Oświaty pod kierunkiem dr. Mariana Falskiego. Z danych tych wynika, że brak odpowiedniej ilości izb szkolnych utrudni podniesienie stopnia organizacyjnego, pozwalającego realizować program pełnej siedmioklasowej szkoły.

Oto w dniu 1.10.1948 r. (bieżący rok szkolny) mieliśmy 1555 szkół z liczbą dzieci od 61 do 200 posiadających 1 izbę, 3323 szkół z liczbą dzieci od 91 do 250 posiadających 2 izby, 2494 szkół z liczbą dzieci od 101 do 300 posiadających 3 izby, 756 szkół z liczbą dzieci od 201 do 400 posiadających 4 izby, 397 szkół z liczbą dzieci od 251 do 400 posiadających 5 izb.

Ta ciężka sytuacja szkolnictwa na odcinku pomieszczeń szkolnych jest wynikiem zaniedbań okresu drugiej Rzeczypospolitej w dziedzinie budownictwa szkolnego oraz ogromnych zniszczeń wojennych. Rozwiązanie wielkiego problemu budownictwa szkolnego rady sanacyjne pozostawiły działalności T-wa Popierania Budowy Publ. Szkół Powszechnych.

W warunkach poważnych trudności lokalowych szkół podstawowych musimy upowszechnić szkoły siedmioklasowej połączone z walką o budynki szkolne na wsi, gdzie brak izb szkolnych i mieszkań dla nauczycieli odczuwa się najdotkliwiej. Braki te uniemożliwiają podnoszenie poziomu organizacyjnego szkół w tych wypadkach, gdzie jest to niezbędne ze względu na liczbę dzieci w obwodzie.

Przewidywana stopniowa przebudowa ustroju gospodarczego wsi w inny sposób komplikuje zagadnienie budownictwa szkolnego. W związku z uspołecznieniem wsi może ulec zmianie struktura przestrzenna osiedli wiejskich. Niektóre mniejsze osiedla mogą w ogóle zniknąć. Moment ten winien być wzięty pod uwagę przy planowaniu sieci szkolnej i opracowaniu planu budownictwa szkolnego. W punkcie szkolnym niepewnym

Artykuł Wł. Ozgi jest informacyjny. Dowiemy się z niego, ile szkół podstawowych przybędzie w ciągu Planu Sześcioletniego. To może tej informacji szukać w Roczniku Statystycznym, albo w gazecie? Nie piąć się jej w pismo literackie?

Jesteśmy innego zdania. Nie mówi ona tylko o tym, co było, co jest. Mówi o tym, co będzie. Jest planem, który wyrasta w walce o oświatę i kulturę mas. Któremu mas ludowe mogą się przyrzec jako dzieło, jakie one zrealizują i dla siebie go zrealizują. Taką jest ich moc, tyle w ciągu sześciolatka ludowej demokracji osiągną.

Temu planowi przyrzec się winien uważnie świat pracowników oświatowych, działaczy i pisarzy na polu kultury i sztuki. Stoi on wobec zadań pogłębienia walki o stworzenie postępowej nauki, marksistycznej oświaty. Stoi wobec opóźnień w wypracowaniu nowych programów i podręczników, wobec przeskalania nauczycieli i działaczy kult.-oświatowych, wobec tworzenia literatury i sztuki dla zwycięsko wstępujących w życie narodu mas ludowych. Te sygnały są znane. Ale inaczej one brzmią, kiedy się na nie reaguje w oderwaniu od materialnej bazy kultury, od materialnych jej narzędzi działania i materialnej siły i wielkości tych narzędzi.

Sześć lat w budownictwie szkół podstawowych to wielka rewolucja w materialnym tworzywie upowszechnienia oświaty i kultury. To skok w technicznych możliwościach szerzenia oświaty, przewyższający dorobek całego ubiegłego stulecia. W stosunku do tego planu, który zrealizuje wysiłek produkcyjny klasy robotniczej i chłopów, jako swoje dzieło, jako materialne narzędzie upragnionej wiedzy i kultury, w stosunku do tego planu rozbudowy szkół muszą zostać ustawione konkretne zobowiązania świata twórców i pracowników kultury i oświaty.

REDAKCJA

da w obwodach posiadających do 80 dzieci. W obwodach z liczbą dzieci od 81 do 100 będziemy mieli z końcem planu 6-letniego szkoły o 3 nauczycieli.

Jak zamierzenia te będzie można zrealizować w oparciu o istniejące warunki lokalowe i perspektywy budownictwa szkolnego w okresie lat 1950–1955?

Zacznijmy od szkół o 2 nauczycieli. Obwodów szkolnych z liczbą uczniów do 80 — mamy zgodnie z danymi Biura Statyst. Min. Oświaty 9.713. Część tych obwodów z liczbą dzieci poniżej 20* pozostanie prawdopodobnie nadal jako szkoły o 1 nauczycielu. Część szkół z liczbą uczniów do 80 ulegnie komasacji (4–5%). Po odliczeniu tych dwóch grup szkół otrzymamy około 9.000 obwodów szkolnych o 2 nauczycieli, którym trzeba zapewnić warunki lokalowe. Ponieważ według danych Biura Badań i Statystyki w roku szkolnym 1948/49 2037 szkół z liczbą dzieci nie przekraczającą 80 miały już po 2 lub nawet więcej izb, przeto pozostaje około 7.000 obwodów szkół o 2 nauczycieli, które weźmiemy w rachubę przy planowaniu budowy szkół.

Plan sieci szkolnej a w szczególności plan budowy szkół musi być budowany oddolnie przy uwzględnieniu różnorodnych i specyficznych warunków terenowych. Zrozumiałym jest, że Ministerstwo Oświaty nie może dysponować szczegółowym materiałem, odnoszącym się do warunków lokalnych dwudziestu kilku tysięcy szkół i uwzględniającym również możliwości wynajęcia pomieszczeń na izby lekcyjne i mieszkania nauczycieli. Dlatego w pierwszej fazie ogólniej budowy planu posługujemy się przewidywaniami

dynków tego typu przy założeniu, że będzie to pierwszy etap budowy.

Koszt takiego budynku wyniesie około 4 — 5 mil. zł. Zakładam, że 1/3 kosztów budowy, częściowo w naturze (część robocizny, zwózka materiałów itp.) częściowo w gotówce pokryje gromada lub gmina. Państwo (Min. Oświaty) dąłoby więc na każdą nowo-budującą się szkołę o 2 nauczycieli 3 mil. zł. W skali ogólnokrajowej potrzeba będzie na ten cel 12 miliardów zł, z kredytów państwowych.

Szkół o 3 nauczycieli (obwody z liczbą dzieci 81–100) będziemy mieli 2037*. Około 100 szkół tego typu powinno ulec komasacji, 225 szkół posiada już 3 izby. Pozostaje zatem około 1800 szkół o 3 nauczycieli, które w chwili obecnej nie mają 3 izb. Można założyć, że 800 obwodów upora się z trudnościami lokalnymi we własnym zakresie, w drodze wynajmu, remontów adaptacyjnych, dobudowy jednej lub dwu izb do istniejących. Założenie to opieram i na tym, że 1491 obwodów o 3 nauczycieli posiada już 2 izby*). Potrzeba w rezultacie wybudować 1000 szkół o 3 nauczycieli.

Kubatura budynku takiej szkoły wyniesie przeciętnie 1.200 m³. Koszt 6 milionów złotych. Państwo da z kredytów skarbowych 4 miliony złotych, środki własne gromad lub gminy wyniosą około 2 milionów złotych. W skali ogólnokrajowej wydamy z kredytów skarbowych w okresie planu sześciolatniego na budowę szkół o 3 nauczycieli około 4 miliardów złotych.

Szkół o 4 nauczycieli (obwody 101–150) dzieci będziemy mieli 3358***. W bieżącym roku szkolnym posiadamy już w 213*** tego typu szkołach (obwodach) po 4 lub nawet więcej izb szkolnych, w 1444*** obwodach po 3 izby oraz w 1548 obwodach po 2 izby, a tylko w 153 obwodach po 1 izbę. Można przyjąć, że w szkołach o 4 nauczycieli posiadających 3 izby problem lokalowy nie nastęczy specjalnych trudności. W najgorszym razie, w wypadku niemożliwości donajęcia izby, trzeba będzie pójść na naukę popołudniową (w bardziej zwartych osiedlach). Szkoły posiadające 2 izby częściowo winny pójść po drodze wynajmu, częściowo po drodze nowej budowy. W olbrzymiej większości obwodów szkół o 4 nauczycieli, posiadających tylko jedną izbę i prawdopodobnie z powodu trudności wynajęcia dodatkowych izb tylko 1 nauczyciela, trzeba będzie wybudować nowe szkoły. Szacunkowo przyjmuję, że w obwodach szkół o liczbie dzieci 101 do 150 musimy wybudować 700 szkół. Koszt budowy takiej szkoły wyniesie około 7 milionów złotych. Można przyjąć, że ogólny koszt budowy szkół o 4 nauczycieli w skali całego kraju wyniesie 5 miliardów, z czego samorząd oraz ludność pokryje w naturze i gotówce 2 miliardy. Z planu inwestycyjnego Ministerstwa Oświaty damy na ten cel 3 miliardy. Zagadnienie szacunku środków własnych omówię z pewnością koledy na sekcji budownictwa szkolnego.

Szkoły o 5, 6 i więcej nauczycieli w okresie planu 6-letniego nie będą mogły być w szerszym zakresie budowane. Przy zwiększeniu liczby nauczycieli w tych szkołach trzeba będzie posługiwać się izbami wynajętymi, stosowaniem nauki na 2 zmiany (w niektórych izbach). Niemniej jednak nie możemy zrezygnować z budowy szkół najwyższego stopnia organizacyjnego. Z kredytów skarbowych przeznaczamy na budowę tych szkół 11 miliardów złotych. Ze środków własnych samorządów powinno pójść na ten cel około 1,5 miliarda złotych. Kwoty te pozwolą nam na wybudowanie według norm kubatury pierwszego etapu około 330 nowych szkół o liczbie 300 dzieci każda.

Szkoły wysokozorganizowane budowane będą również w nowych osiedlach w związku z uprzemysłowieniem kraju.

W osiedlach tych przewidujemy budowę około 250 szkół o 7 i więcej nauczycielach. Przy budowie szkół w nowych osiedlach przy-fabrycznych będziemy zezwalali w pewnych wypadkach na podniesienie przeciętnej normy kubatury na jednego ucznia ponad 22 m². Na budowę tych szkół przeznaczamy w okresie planu 6-letniego kredyt w wysokości 11 miliardów złotych.

Potrzeby budownictwa szkolnego w spółdzielniach produkcyjnych na wsi muszą być również wzięte pod uwagę przy opracowaniu planu 6-letniego ze względu na społeczno-polityczną i ekonomiczną wagę zagadnienia. Oczywiście potrzeby tych spółdzielni odnośnie budowy szkół będą uwzględniane przy opracowaniu sieci szkół o 2, 3 czy więcej nauczycielach. Ministerstwo przeznacza mimo to na ten cel specjalny, dodatkowy kredyt w wysokości 3 miliardów złotych.

Dalszą poważną troską Ministerstwa Oświaty są rozpoczęte budowy szkół, których nie kończy się z powodu braku kredytów. Żywiołowość inicjatywy społecznej, wypływająca nieraz z najlepszej woli, nie ujęta w ramy planowej działalności, doprowadziła do rozpoczęcia wielu budowli, których nie ma za co kończyć. Nie posiadamy w Ministerstwie nawet dokładnych danych o tego rodzaju budowach. W okresie lat 1950 — 1955 trzeba będzie to zagadnienie zlikwidować, ująć w ramy planu i rozpocząć budynki wykończyć, ograniczając ich rozmiary do minimum. Na ten cel Ministerstwo Oświaty przeznaczy poważną kwotę — 3 miliardy złotych.

Budownictwo oświatowe jest tak spopularyzowane w społeczeństwie, że inicjatywa oddolna potrafiłaby wyzwolić duże środki materialne w postaci bezpłatnej robocizny, szarwarków, składek pieniężnych, dobrowolnego opodatkowania się. Z tego rodzaju pozytywnej inicjatywy rezygnować nie należy, zwłaszcza bezpłatna robocizna pozwoli na obniżenie kosztów ogólnych budowy. Trzeba sobie jednak uświadomić w tej sprawie, że nasze plany w dziedzinie budownictwa warunkowane są nie tylko pokryciem finansowym, ale również limitami materiałowymi. W okresie planu 6-letniego mogą wystąpić deficyty niektórych materiałów budowlanych, jak stal, drewno, blacha, papa.

Produkcja materiałów budowlanych będzie więc limitować rozmiary budownictwa w planie sześciolatnim.

W tych warunkach wskazany jest wyzyskanie na budownictwo szkolne również miejscowych rezerw surowcowych.

Pozostają do omówienia jeszcze potrzeby budowlane szkół skomasowanych oraz szkół zbiorczych. Komasacja szkół ma służyć podniesieniu stopnia organizacyjnego, a więc należy zrobić maksymalny wysiłek, aby uzyskać tu poważniejsze rezultaty. Zgodnie jednak z przewidywaniami, akcja komasacji nie zakończy szerszych kręgów.

Na nowe budynki szkół skomasowanych Ministerstwo Oświaty przeznaczy około 2 miliardów zł.

Zagadnienie zbiorczości dotyczy będzie przy końcu planu 6-letniego głównie szkół o 2 nauczycieli, które realizować będą program 6 klas szkoły siedmioklasowej. W obwodach szkolnych do 80 dzieci jest w bieżącym roku szkolnym około 466.000 dzieci*). Na 1 rocznik obowiązku szkolnego, kończący klasę szóstą wypadnie w r. 1955 więcej niż 70.000 dzieci, które powinny kończyć klasę siódmą w tzw. szkole zbiorczej. Szkoła zbiorcza może być dla tych dzieci każda szkoła o 3 i więcej nauczycieli. Ponieważ sieć szkół realizujących program szkoły siedmioklasowej znacznie się zagęści, przeto poważna część dzieci w promieniu 4 kilometrów znajdzie szkołę z klasą siódmą. Szkół o 3 i więcej nauczycieli będziemy mieli na wsi około 10.000, przeto teoretycznie biorąc, na 1 szkołę wypadnie do 7 uczniów ze szkół o 2 nauczycieli. Praktycznie w terenie liczba uczniów dochodzących do 7 klasy szkoły zbiorczej nie będzie przekraczała 7 — 12 uczniów. Dzieci te pochłonięte zostaną bez większych trudności przez szkoły o 3 i więcej nauczycieli. Na odcinku budowy szkół zagadnienie to nie wystąpi silniej i należy rozstrzygnąć je zasadniczo w ramach normalnej budowy szkół o 3, 4 i więcej nauczycieli.

*) Szacunek na podstawie materiałów Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

W NUMERZE 26(205) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 26 czerwca 1949 r.

Władysław Kowalski — Doły i góry; N. Brodzki — Puszkin a twórczość ludowa; Konstanty Grzybowski — Mistyfikacje liberalizmu; Antoni Korzycki — Przed zjednoczeniem ruchu ludowego; Eugeniusz Frankowski — Etnografia radziecka; Jerzy Miller — Plony, Ulica Katna w Łodzi; Historia uczy (w ósmą rocznicę agresji hitlerowskiej na ZSSR); Irena Brodziewicz-Jurgielewiczowa — O literaturze pierwszego poziomu; Tadeusz Orlewicz — Kapitałistyczna znowa; Józef Ozga-Michalski — Ideologia młodzieży wiejskiej; Ludwik Łakomy — Muzeum Ludowe na Łysej Górze; Marianna Kosińska — List; Mateusz Siuchański — Powieść historyczna?; Kazimierz Andrzejewski — Owoc nie tego czasu; Antoni Krupa — O powiązanie nauki z pracą; Fakty i zdania. 17 ilustracji, 12 stron.



z powodu przewidywanej przebudowy osiedli należy stosować budownictwo szkolne za-
stępce, najtańsze i przy najniższym stan-
dardzie budowlanym.

Upowszechnienie szkoły siedmioklasowej wiąże się więc nierozdzielnie z racjonalnie opracowanym planem budownictwa szkolnego.

Dyr. Grabowski i dyr. Falski przedstawili w swych referatach koncepcję organizacji szkolnictwa, zmierzającą do objęcia już w okresie planu sześciolatniego wszystkich dzieci w Polsce siecią szkół realizujących program siedmioklasowej szkoły.

Szkoły o 2 nauczycieli organizowane bę-

mi i założeniami teoretycznymi, kierując się w pierwszym rzędzie możliwościami finansowymi, które znamy.

Uwzględniając powyższe zastrzeżenia zakładam, że w 3000 obwodów szkół o 2 nauczycieli, posiadających już zresztą 1 izbę będzie można rozwiązać sprawę w drodze donajęcia drugiej izby, remontu adaptacyjnego, bądź prowizorycznej dobudowy izby do już istniejącej itp. Pozostają więc 4.000 obwodów, w których musimy wybudować nowe szkoły.

W dążeniu do zaspokojenia potrzeb lokalowych możliwie największej liczby szkół opracowaliśmy w Ministerstwie najskromniejsze standardy dla szkół o 2 nauczycieli. W oparciu o te standardy Wydział Budownictwa sporządził szkieletowe projekty bu-

*) Według danych Biura Badań i Statyst. Min. Ośw. w dn. 1.10.1948 mieliśmy takich obwodów 238 z liczbą 4151 dzieci.

*) Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

**) ibidem

***) Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

*) Fragment referatu wygłoszonego na Ogólnopolskim Zjeździe Inspektorów Szkolnych (w dn. 25–29.V.49). Referat stanowi część zbiorowej pracy poświęconej Zjazdowi, a przygotowanej do druku.

Józefa Witowska

Ilustr. Hanna Orzechowska

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ



PIERWSZE DOŚWIADCZENIA

Snutne w życiu doświadczenia pchnęły mnie do napisania i dzielenia się z innymi losami robotnika małopolskiego i losami ich dzieci. Moje rodzinne strony były zamieszkane przeważnie przez Niemców. W mieście, gdzie mieszkali bogaci kapitaliści, zajmowali się tkactwem. U tych to bogatych Niemców tkackie chałupnicy głodowali. Majstrowie płacili skąpo. Anemiczni tkacze, również ich dzieci z nożkami pokrzywionymi od chorób, mieli ciężkie warunki. Izby ciasne, okna zastawione krosnami, zaduch farb i „ślichty” przepełniał mieszkanie.

Dzieci od lat najmłodszych siedziały lub stały przy kółkach czy kołowrotkach — starsze nad „trajbowaniem”, młodsze nad szpulowaniem. Pożywienie tkackich rodzin składało się przeważnie z czarnej gorzkiej kawy i kartofli zamiast chleba. Mleko kupowały tylko odciganie i to nie codziennie, bo tkaczy nie było stać. Za to majstrowie mieli brzuchy do nosa, a rodziny wysyłały do zagranicznych wód. A dzieci chałupnika zabierała gruźlica.

Nie lepiej się działo we wsi, skąd mój ojciec był rodem, jako syn wdowy na półtoręj morderze ziemi z pięciorgiem dzieci. Starsze chodziły na pańskie lub do Niemców, którzy wysyłać pracę robotnika. Robić musieli od wschodu słońca aż do zachodu. W lecie żyli się prawie lebiada i pokrzywami. Dzieci miały brzuski zielone jak kaczka. Ale tej lebiady darmo Niemcy nie dali — trzeba było pół dnia odrobić, nie dość że im oczyszczano pole z chwastu.

Ojcu mojemu sprzykrzyło się służyć na wsi, toteż się przeniósł do miasta, oddalonego czterdzieści kilometrów. I tu nie lepiej miał, pracując także u bogatych Niemców. Ja również pracowałam, odkąd pamiętam. Dzieciństwa nie zaznałam uśmiechniętego. Moja zabawa to było „kółko” do „trajbowania”. Jako małe dziecko już musiałam zarabiać. Nie było wyrozumienia nawet u rodziców, skoro mnie, dziecko może pięcioletnie, dali na służbę na wieś w ojca strony i do tego samego Niemca, u którego ojciec miał pierwszą służbę. Czternaście kilometrów drepaliśmy wówczas po śniegu z babcią. Wieczorem zasłaliśmy. Plakałam, gdy babcią szła do domu. Na mnie nawet nie spojrziała. Lłczyłam wtedy godzinę, ile ich jestem oddalona od domu. Po paru dniach tęsknota przemogła, postanowiłam uciec.

Tak też zrobiłam. Droga prowadziła do babci przez las. Śnieg zawiął wszystko, toteż nie dziwnego, że w lasu zginełam. Na szczęście ujrzałam światełko, wówczas weszłam zbiegniętą do chatki. Wielkie zdziwienie okazała kobieta, widząc obcą dziewczynkę w proggu. Gdy się ogrzałam, zaprowadziła mnie do babki. Babka była niechętna mej ucieczce, toteż z gniewem odprowadziła mnie do domu. Mama na mój widok także powiedziała:

— No, z niej to służbista, jak z koziego roga trąbka.

Później ojciec robił w browarze. Właściciel browaru był jednocześnie dziedzicem. Ten był robotnika za łada przewinięcie. Chodził stale z psem i kijem, o czwartej budził służbę do roboty. Bali się go wszyscy. Każdy robotnik musiał go całować w rękę na dzień dobry — nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, niosące mężom jedzenie. Gdy która udala, że tej wyciągniętej łapy nie widzi, wtedy doszedł, wziął kijem przez plecy i ryknął: — Co, mordę ci zapieczetowano, czyś oślepiła?

Unikały go kobiety, ale on stał umyślnie w przejściu, by go żadna nie minęła. Całowała go moja matka, całowałam go też jako dziecko. Zrobił łaskę, że mnie raz łapa, którą bił robotników, pogłaskał po głowie. Dziedziczka też biła służbę, w złości szarpała za włosy i tłukła o drzwi lub ścianę. Pewnego razu mój ojciec przyprowadził taką zbitą i skrwawioną pokójówkę, która u nas nocowała. Pamiętam, że mówili: — Tam psa szkoda dobrego.

Dziedzic poblił także mojego ojca i wymagał, by go przeprosił. Wyciągając rękę w stronę ojca krzychał: — Przepraszam do roboty. Ale ojciec był na tyle ambitny, że nie przeprosił, wolał zostać bez roboty. Było nam wtedy ciężko. Matka ojcu wymyślała i namawiała go, by szedł dziedzica przeprosić, sam dziedzic przysyłał. Ojciec jednak nie poszedł, choć mu nie wypłacono należności. Był wtedy ojciec bez pracy, w domu bieda, dzieci małe. Najmłodsze mama poila tylko wodą ze sacharyną. Nic dziwnego, że dziecko zamiast rość to schło i do trzech lat nie chodziło. Sam ojciec był też waty, ciężko robić nie mógł, więc oberwał się przy budowie kościoła i po długiej chorobie umarł na gruźlicę. Matka została wdową z trojgiem dzieci, a czwarte było w drodze. Wkrótce po śmierci ojca i matka zachorowała. Coś dzwignęła i nastąpił poród przedwczesny, dostała więc krwotoku. My, dzieci małe, nie wiedzieliśmy co robić. Dopiero, kiedy matka straciła przytomność, wezwaliśmy sąsiadki Żydówki. Te dopiero sprowadziły lekarza, który odebrał poród i doprowadził wszystko do porządku.

Długo potem mama leżała. Wtedy ciężko było żyć. Umarł dozorca. Wówczas ja wzięłam z radością dozorstwo. Zamiatanie szło mi nieźle, gorzej było odmiatać śnieg na ulicy. Odmiatałam, często mając przymarznąłą świeczkę u nosa, ale najgorzej było odrabiać ryzotki. Siekiera ciężka, ręce mi popękały. Miałam siedem lat. Przyszli mi w pomoc sąsiedzi, litując się nad dzieckiem, odrabiali mi głęboko, by na dłużej starczyło.

Był to jednak mały zarobek. Nosłam więc lokatorom wodę po pół wiadra. Musiałam parę razy obracać, nim nanosiłam całą stągiew. Zimą paliłam sąsiadom w piecach. Dostałam za to dla chorej mamy placka, cukru, soku, kompotu, ciastek. Pod koniec zimy mama mogła już robić. W lecie chodziliśmy do lasu po drzewo, na grzyby, jagody.

ROZRUCHY

Pamiętam, kiedy jeszcze ojciec żył, przyjechała ojca siostra z Łodzi i przywiozła coś bardzo ciężkiego. Ojciec to wyniósł na strych. Później przychodzili różni ojca znajomi i trochę wynosili. Były to różne gazetki, broszury, piosenki. Tego nie było wolno rozpowszechniać, za to była kara. Wieczorem często przychodzili do nas znajomi, czytali, śpiewali te piosenki. Śpiewałam z nimi:

Na barykady ludu roboczy!
Musiałoby być źle dla robotników. Kiedyś ojciec powiedział swej siostrze:

— Masz odwagę, Teofilko, tak śmiało tyle gazet przewozić?

— Czy mam odwagę? Ty bracie nie wiesz, ile ludzi cierpi w Łodzi głód i poniewierkę.

Ojciec wiedział, bo i u nas było to samo. Kawę piliśmy zawsze czarną i gorzką, a herbatę z sacharyną. Umarła siostra trzyletnia, ojciec nie robił, nie było jej za co pochowić. Ksiądz i organista kazali sobie zapłacić. Nie tylko u nas tak było — prawie w całym miasteczku, składającym się przeważnie z wóbrów. Ja jeszcze nie rozumiałam tego wszystkiego, choć po swojemu służyłam sprawie. Często mnie ubrali w piosenki lub jakie odezwy i tak z tym chodziłam i spałam za koszulą. Była czasem rewizja, ale ja nie doznałam, co noszę, więc chodziłam bez troski nawet między żandarmami.



Raz późno wieczorem słysząc syrenę. Ojciec już spał, byliśmy przekonani, że to pożar. Bardzo wtedy bałam się ognia. Ojciec wyszedł na ulicę, wrócił i powiedział:

— Gdzieś daleko musi się palić, nie widać łuny — i poszedł spać. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, co było. Młodzież szkolna zaczęła śpiewać zakazane piosenki, zgromadził się tłum, ruszyło wojsko i zaczęło strzelać do tłumu. Dużo ludzi było zabitych i rannych. Syn naszego gospodarza umarł z upływu krwi — młody uczeń. Było to w okresie Bożego Narodzenia. Pogrzeb się odbył skromnie. Prócz rodziny nikt więcej iść nie mógł, zaraz żandarmi strzelali.

Pewnego razu jakiś „szpicel” wydał moją ciocię, gdy przywiozła gazetę. Na szczęście nie znalazła, a ciocia jakoś uciekła i pieszo poszła do Łodzi. Niedługo potem mój ojciec umarł. Rewizje nawet po ojca śmier-

ci nie ustały, nawet w sąsiednim domu. Mieszkał tam Żyd, pan Fuks; ten dowiedział się od swojej służącej, że ja mam przy sobie różne pisma. Zawołał mnie do siebie i on również mi dawał jakieś pisane bloczki i druk, a nawet pieniądze na przechowanie. Chodziłam wtedy na spacer z jego córeczką, obładowana pismami jak kasa... Ci państwo wkrótce wyprowadzili się do Kalisza. U nas także pomału ruch ustał. A szkoda — żałowałam. — Lubiałam takie gorące czasy, pełne nadziei, ognia, pieśni. Do dziś mnie wzrusza piosenka — mego dzieciństwa — pieśń buntu:

Na barykady ludu roboczy

Albo:

Krew naszą długo leją katy
i piyną ludu gorzkie lzy...

Płynęły wtedy często i moje, jak o tym w następnych wspomnieniach.

W BROWARZE

Pewnego razu przyszła stręczarka, że jest potrzebna niańka do browaru. Wiedzieliśmy, czym we dworze pachniało. Ale stręczarka zapewniała, że tylko stara matka była. Córka jest inna. Poszłam tedy z mamą na zgodę do dworu. Ciekawilo mnie tylko zobaczyć te wielkie pokoje. Sam widok dziedziczki sprawiał wielki podziw. Zgodzono mnie i zaraz zostawiono. Najmłodsze dziecko jeszcze nie chodziło — tuśte, ciężkie. Trzeba było dobrze uważać. Tutaj lepiej by się nadawała starsza kobieta za nianę. Przecież ja nie umiałam jeszcze dziecku uprać, co niance jest obowiązkowe. Dziecko rozkapryszone,



cierpiałam tam wiele i tych popychań i uderzeń o łada przewinięcie doznałam mnóstwo. Życia też nie było. Rano dano mi kufel piwa i bułkę. Musiało to starczyć do obiadu. Obiad w kuchni był już przygotowany — mała porcyjka — więcej bym zjadła.

Po południu, kiedy dziecko spało, prałam pieluszki i dziecienną bieliznę, albo prasowałam. W tej czynności nie mogłam pani dogodzić. Wymyślała mi ciągłe. Do domu szłam spać o dziesiątej. Przed odejściem dano mi kolację — tak samo, jak rano: kufel piwa i kawałek chleba. Na szczęście w domu znajdłam kolację.

Pewnego razu dziecko zachorowało. Odbiło się to na moich plecach, że źle pilnuję i dziecko chore. Wtedy to skoczyła do mnie, tak mnie zbliła, wyszcypała, że posiniaczona i pokrwawiona poszłam do domu i więcej nie wróciłam. Córka w niczym nie różniła się od matki, tak samo była służącą. Tylko kiedy dziewczynny odeszły i nie dopomniły się o zasługę, robiła się uczciwą i dobroczynną — odesyłała pieniądze na kościół — połowę na ewangelicki, połowę na katolicki. Składała ofiarę z ciężko zapracowanych groszy robotnic.

U WDOWY PO MAJORZE

Po wyjeździe z Warszawy dostałam się do pewnej wdowy, która mnie bardzo dawno pragnęła do siebie przyjąć. Pani Orowska była z bardzo pobożnej rodziny. Miała trzech księży w rodzie: stryja, wujka i brata. Wychowana była u stryja. Na ogół wyglądała jak cnota chodząca i wszystkim dobrze życząca.

— No, nareszcie dostałam Marysię, o którą tyle lat Boga prosiłam. Teraz wezmę ucznia na stancję. Będziemy żyć jak rodzina.

Pani Orowska bardzo ubolewała, że Bóg ją tak doświadczył, zabierając jej męża, co prawda, hulakę i karciarza. Bez niego właściwie było jej znośniej, mimo czworga dzieci. Dostawała emeryturę, ksiądz przysyłał co miesiąc, potem syna starszego zabrał do Warszawy, płacił mu mieszkanie i szkołę, następnie politechnikę. Pani Orowska tylko się modliła i zgadzała z wolą bożą.

Ta święta pani uczni po prostu głodziła. Wzięła ich sześciu, przeważnie ziemiańskich synów. Za to bardzo przestrzegająca, by po każdym posiłku się żegnali i regularnie mówili pacierz. Mnie podług umowy obiecała pokój, lecz jeszcze był zajęty na spiżarnię, więc spałam w kuchni. Najwięcej ja bolało, jak ktoś do mnie przyszedł i ja poczęstowałam gościa. Przecież to nie było z jej spiżarni, kupiłam. Ale mi dawała do zrozumienia, że jestem zbyt hojna. Często z kredensu zginęła bułka, widocznie chłopcy, a może i córki, ściągęły. Kiedy ja gotowałam obiad,

zwłaszcza gdy miałam mięso — pani Orowska weszła uśmiechnięta do kuchni:

— Marysiu kochana, będę tu sobie szyła. Bardzo mi miło gawędzić z Marysią. Marysia taką mądra i wyrozumiała.

Ale z buki spogląda, jak ja robię.

— Ile też Marysi wyszło kotlecików? Starczy aby na kolację? Malutkie proszę robić, będą podzielniesze.

Kiedy indziej znowuż, kiedy w czasie obładu kroiliam mięso rosółowe lub klops, wpadła, pod jakim pozorem, na przykład po sól, do kuchni i znowuż:

— Marysiu kochana, małe, małe kawałeczki — i patrzyła, jak kroję. Bała się, bym nie zjadła kawałka. Po obiedzie wpadała rozpromieniona do kuchni:

— Marysiu kochana, brakło mięsa dla Marysi, tak chłopcom smakowało.

Albo:

— Żeby tak Marysia nie zjadła swego kotlecika, starczyłoby dla chłopców na kolację. — Kiedy indziej: O, Marysiu, brakło mięsa. Co będzie?

— Co ma być, nie będę jeść.

O jaka Marysia kochana i wyrozumiała! — obejmowała mnie i całowała w głowę. Sama bym nie zjadła, ale siedzę przy stole, więc muszę dawać przykład...

Na kolację brakło też pieczywa dla mnie. A przecież chłopcy też by zjedli więcej, stanowczo mieli za mało jedzenia. Córki chodziły wiecznie głodne. Starsza Haneczka z matką się kłóciła, że skreślił kieszek dostanie. Była niepoń, urządziła randki ku zgorszeniu mamusi, która znalazła wytłumaczenie, że dzisiaj tak świat chowa dzieci.

Uczniowie pomału zaczęli się usuwać i tak po jednym ubywało, aż zostało dwóch. Wtedy pani majorowa oczy wznosiła w niebo i wzdychała:

— Bóg dał, Bóg wziął...

Nie podobało mi się to miejsce, ale nie lubiłam się kręcić. Aż tu w połowie października pani Orowska przychodzi do kuchni jak zwykle z robótką, słodko uśmiechnięta i zaczyna słowami niemal ewangelicznymi:

— Jak to różnymi drogami Pan Bóg człowieka prowadzi. Daje mu jedno, odbiera drugie. Tak samo i mnie. Marysię od tylu lat pragnęłam. Skoro dostałam — uczniowie mi uciekają. Więc zmuszona jestem Marysię od pierwszego listopada odprawić, a wziąć sobie małą dziewczynkę. Dam Marysi bardzo dobre świadectwo.

Dziękuję za dwumiesięczne świadectwo... O to miejsce nie dbałam, ale w listopadzie najtrudniej było o służbę. Trzeba było iść do domu ojczymowi na oczy. Pani Orowska nie chciała mnie nawet zameldować do Ubezpieczalni. Przede mną jeszcze odeszli ostatni uczniowie.

— Zagłodziłaby nas ta baba — rzekli mi przy pożegnaniu.

Ostatniego października pani majorowa kazała kupić pieczywa tylko dla siebie i córki, ale bardzo mało. Wieczorem wypłaciła mi pensję, wręczyła świadectwo, ucałowała mnie po judaszowsku. Rano dzień Wszystkich Świętych. Wstałam, wzięłam się do sprzątania. Majorowa zrywa się z łóżka:

— Marysiu, proszę położyć szczotki. Od dziś Marysia wolna.

— Ja wiem, że jestem wolna, ale pani posprzątam, nim pójdę do kościoła.

— O nie! Śniadania przecież dla Marysi nie mam, proszę już przestać robić.

— Mnie się o jedzenie nie rozchodzi, a jak mi się będzie chciało jeść, to sobie kupię.

— No, chyba, że tak, bo ja już dla Marysi nie przewidziałam.

Czy to sknerstwo zgadzało się z jej pobożnością? Zostałam tedy bez domu, bo jak tu iść do ojczyma. Dzień spędzałam na poszukiwaniu pracy, spałam jednak chodząc. Iam do pani majorowej parę nocy. Stanowczo mi zabroniła. Ona nie może patrzeć, że ja może chodzę głodna.

DWA CZYSZCZE

W domu byłam parę tygodni, ale mamie było trudniej, szczególnie zimą. Bielizna schła długo, odpusty, na które jeździłyśmy z cukierkami, zamaryły. Toteż postanowiono



mnie dać na służbę. Trafiła się do urzędnika powiatowego. — Może będzie dobrze, pani bardzo pobożna, pan także.

Poszłam i coś się okazało po paru dniach? Pani przy swej pobożności mnie głodziła, tyle dała, aby żyć. Nie dość, że była skąpa, ale do kawy, zup dolewała mi wody. Chleba dostawałam tylko ogryzki po dzieciach. Zbierała kawałki, polała wodą, ośłodziła trochę, podała jak psu. Byłam bardzo wygłodzona, zjadałam to z apetytem. Ale gdy pani prosiła większe figury miasteczkowe — księdza lub nauczyciela, wtedy wszystko było na podwieczorku. Pani była na tyle bezcelna, że nawet nie dała mi nic spróbować. Wtedy to bawiałam w drugim pokoju dzieci, by goście mieli spokój. Kiedy zmywałam po nich naczyń, byłam tak głodna, że rada byłam liść talerzyki od kremów lub galaretek.

Pani ta, gdy zobaczyła u mnie w ręce książeczkę z bajkami, wyrwała mi ją z gniewem, że to nie dla mnie zajęcie. Albo gdy grała na fortepianie i stała przy klawiaturze, odepchnęła mnie od niej. Nie pozwoliła mi także rozmawiać z koleżanką, która służyła w żydowskiej rodzinie. Służąca nie u Polaków to było dla niej coś nieczłowieczego, choć przekonałam się, że u Żydów na przykład było znośniejsze.

Moja pani budziła mnie wcześniej rano sprzątała. Wtedy to usiadła sobie na fotelu, patrząc pilnie, jak robię. Jak mogłam robić dziewczynka dziesięcioletnia? Gdy jej się nie podobało, zlapała ścięgno od kurzu, trzepała mi po głowie lub ciągnęła za włosy i głowę porząsała na wszystkie strony. Z pracy i głodu zachorowałam na anemię, wzięto mnie do szpitala, tam byłam parę tygodni. Mimo swej

gorliwej pobożności, pani Grodzicka nie raczyła mnie ani razu odwiedzić.

Po wyjściu ze szpitala przebywałam jakiś czas w domu i „trajbowałam”. I znowu poszłam na służbę do bogatego Niemca tkacza. Ten Niemiec był majstrem, miał dużo czeladników chałupników z miasteczka i bliskich wiosek, posiadał własny dom. Tu trzeba było omiać, bo dozory nie trzymali — myć sześć podłóg białych, bo przychodzili czeladnicy z płóciennymi i po osnowie, to zabrudzili. Nie było wyrozumienia, że jestem młoda. Życie było dobre, ale praca ciężka na moje siły. Sypiać chodziłam do domu, ale nie pozwoliło mi iść wcześniej, niż o dziesiątej. Musiałam pierze drzeć. Wyznaczono mi garnkę na wieczór. Nie mogłam tego skończyć, choć siedziałam dłużej. Gdy nie skończyłam, to rano pani mi wymyślała, że nie jestem warta płacy. — Nic z ciebie nie ma pociechy.

Jej dzieci starsze były ode mnie, to chodziły do szkoły i spać wcześniej. Jeszcze nie zdążyło któreś stęknąć, już był lekarz. A ja miałam odmrożone nogi, gdyż chodziłam w „klapkach” drewnianych bez osłony pięt. Ręce były zawsze mokre, popękane. Plakałam przy tych piórkach wieczorem, ale dola służącej nie była wyrozumiała. Służąca to tylko siła robocza, ma płacone i musi pracować. A ta płaca była tak mała w małym miasteczku. Podłogi myłam przeważnie w zimnej wodzie. W mniemaniu państwa były przez to ładniejsze. Wylewać trzeba było na podwórko, śnieg tam obmierał i na ulicy, lód rąbać pod studnią. Tak mocno przeziębiałam ręce, że robiły się palce nieczułe. I znowu mnie czekał szpital, gdzie przeleżałam pięć tygodni. Mimo że pani była protestantka, odwiedzała mnie co tydzień i chciała, bym przyszła z powrotem do roboty.

Józefa Witowska

Stanisław Cieślak

U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie

Planowanie gospodarcze polega nie tylko na stawianiu określonych zadań produkcyjnych i ustalaniu terminów, w których te zadania będą wykonane, ale również na wyborze środków, których użycie zapewni i gwarantuje wykonanie planu. Istotnym niemniej elementem planowania jest stworzenie sprawnie działającego systemu bieżącej kontroli wykonania planu oraz zabezpieczenie środków działania zapewniających skuteczną interwencję w wypadku załamania się planu. Jesteśmy obecnie na etapie wszechstronnych przygotowań do Planu 6-letniego (1950—1955) i zakończenia Planu 3-letniego (1947—1949). Po uchwaleniu w grudniu 1948 roku przez Pierwszy Kongres PZPR podstawowych wytycznych do Planu 6-letniego, po uchwale Rady Ministrów z 30 maja 1949 r., która stanowi bardziej szczegółowe rozwiniecie wytycznych przejętych na Kongresie, poszczególne Ministerstwa przystępują do ostatecznego opracowania w swoich dziedzinach planów szczegółowych uwzględniających każdy, im podległy, warsztat pracy.

Zakończenie Planu 3-letniego i rozpoczęcie nowego Planu 6-letniego stawia przed nami nie tylko nowe zadania produkcyjne, ale wymaga również stałego pogłębiania i ulepszania całego naszego systemu i aparatu planowania.

Pod tym względem istnieją wielkie nierównomierności pomiędzy różnymi działami gospodarki narodowej. O ile przemysł jest stosunkowo najbardziej zaawansowany pod względem planowania, o tyle inne działy gospodarki narodowej, jak również dziedzina usług niematerialnych (kultura, oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna itp.) stoją jeszcze znacznie w tyle. Specjalnie opóźnione są: rolnictwo, handel wewnętrzny, komunikacja, budownictwo, które dopiero w drugiej połowie 1948 r. zaczęły właściwie stawiać pierwsze kroki w dziedzinie planowania.

Charakterystyczne jest dla tych dziedzin opóźnionych w planowaniu, że plany w nich sporządzało się dotychczas ogólnie, bez wciągania do pracy nad ułożeniem planu jednostek terenowych, które ten plan będą wykonywać. Plan tak układane odznaczać się będą zawsze niewielką realnością i nie będą mobilizować mas pracujących do większych wysiłków, a przez to wyraźnie opóźniając tempo rozwoju całego naszego gospodarstwa narodowego.

W rozważaniach obecnych zajmujemy się jedynie planowaniem na odcinku rolnictwa i spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy możliwe jest na obecnym etapie dalsze jego usprawnienie i pogłębienie.

Zanim znajdziemy odpowiedź na te pytania, dobrze będzie wyjaśnić zasadniczą różnicę, jaka występuje w planowaniu na odcinku rolnictwa a w planowaniu na odcinku przemysłu w Polsce.

1. RÓŻNICE W PLANOWANIU PRZEMYSŁOWYM I ROLNICZYM

Do najbardziej szkodliwych przesądów należy przekonanie, że rolnictwo jest o wiele bardziej zależne od sił przyrody, niż przemysł czy np. komunikacja.

Doświadczenia wielu państw, a zwłaszcza Związku Radzieckiego świadczą wymownie i całkowicie przekonująco o tym, że rolnik pracujący zespołowo, uzbrojony w nowoczesną technikę, stosujący zdobycze nauki panuje nad siłami przyrody, przestaje być ich niewolnikiem i potrafi wydrzeć przyrodzie, to czego mu potrzeba. Z naszych doświadczeń dość przytoczyć dodatnie wyniki planowania na odcinku leśnictwa, które również podobnie jak rolnictwo jest współpracą człowieka z siłami przyrody, a wyniki swej pracy posiada nie o wiele gorsze niż np. przemysł.

Trzeba, aby postawa całej naszej młodzieży wiejskiej stała się postawą czynną i zdobywcą wobec przyrody, bez tego wprowadzenie postępu do naszego rolnictwa będzie niemożliwe.

Istniejąca jeszcze dziś w Polsce różnica w planowaniu rolniczym a przemysłowym polega na czymś zupełnie innym.

Oto w wielkim i średnim przemyśle środki produkcji są uspołecznione i znajdują się w swobodnej dyspozycji mas pracujących, natomiast w rolnictwie (oprócz ok. 12% ziemi, która stanowi państwowe gospodarstwa rolne) przeważa dzisiaj gospodarka drobno-

towarowa (mało i średniorolne gospodarstwa chłopskie), a poza nią dużą jeszcze rolę odgrywa w produkcji większe gospodarstwa rolne, posiłkujące się stałą siłą najemną, a więc gospodarstwa o typie wyraźnie kapitalistycznym.

W państwowych gospodarstwach rolnych (PGR) można planować bezpośrednio tak jak w przemyśle, komunikacji, czy leśnictwie. Natomiast odnośnie gospodarstw chłopskich, ze względu na ich prywatno-własnościowy charakter, dysponujemy małą liczbą elementów planowania bezpośredniego różnej zresztą jakości (do nich należą np. kontrakty wszelkiego rodzaju) i z konieczności ograniczać się musimy do przewidywania wyników produkcji rolnej i pośredniego wpływu na jej rozwój przez politykę cen, podatki, ubezpieczenia, kredyty, właściwą politykę zaopatrzenia wsi w środki produkcji, należyta organizację skupu rolnego itp. zabiegów.

Te dysproporcje w planowaniu na odcinku rolnictwa w porównaniu z innymi uspołecznionymi dziedzinami życia gospodarczego zanikać będą w miarę rozwoju spółdzielczych, zespołowych form gospodarowania na roli.

W uspołecznionym bowiem rolnictwie rozszerzają się możliwości najbardziej skutecznego planowania bezpośredniego.

Taka perspektywa nie może nas zwolnić, rzecz jasna, od wysiłku w kierunku wzmocnienia bezpośredniego i pośredniego planowania w rolnictwie jeszcze na obecnym etapie, tym bardziej, że rozwój planowania w rolnictwie przyspieszy uspołecznienie rolnictwa.

2. W JAKIM KIERUNKU ZMIERZAĆ?

Te wysiłki winny zmierzać w następujących kierunkach:

Trzeba stale i systematycznie umacniać nową, kierowniczą rolę Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, jako organu władzy ludowej powołanego do kierowania całością produkcji rolnej.

Obecnie Ministerstwo Rolnictwa tego wpływu jeszcze nie posiada. Poza nim w innych Ministerstwach i Centralach Spółdzielczych zapadają decyzje co do roślin przemysłowych, mleczarstwa, hodowli zwierząt, rozdziału nawozów sztucznych, kredytowania rolnictwa itp.

Ministerstwo to nie posiada również jeszcze dostatecznego i sprawnego aparatu terenowego: agronomów i instruktorów, od gromady wiejskiej poczynając, który by stale pomagał mało i średniorolnym chłopom w układaniu ich planów produkcyjnych zgodnych z ogólnym planem państwowym, oraz usuwał bieżąco wszelkie przeszkody, na jakie wykonanie tych planów natrafia niejednokrotnie w terenie.

Rzecz jasna i również jak poprzednie nie ulegająca już dziś żadnej wątpliwości, że Mi-

nisterstwo Rolnictwa w swej obecnej strukturze organizacyjnej, w strukturze tradycyjnej odpowiadającej czasom Ministerstwa Dóbr Koronnych, a nie czasom gospodarki planowej, bez Departamentu Planowania, bez Departamentu Finansowego (a nie tylko Budżetowego), bez wyraźnie określonych zadań dla Departamentu Ekonomicznego, który winien stale i bieżąco śledzić koszty produkcji rolnej i wpływać na ich obniżenie, bez Departamentu Inwestycyjnego itd. tej roli kierowniczej w stosunku do całości produkcji rolnej odegrać nie może. Ta sprawa wymaga więc również zmian u progu Planu 6-letniego.

W ramach Związku Samopomocy Chłopskiej należy rozszerzyć zespołowe i indywidualne współzawodnictwo pracy, specjalnie zwłaszcza nacisk trzeba położyć na walkę z wszelkiego rodzaju marnotrawstwem, wydobywając w ten sposób ukryte rezerwy i stale systematycznie obniżać koszty własne produkcji rolnej.

Wielką rolę w mobilizacji mas pracującego chłopstwa wokół państwowego planu gospodarczego mogą odegrać gromadzkie i gminne chłopskie narady wytwórcze, z udziałem przodowników pracy spośród rolników rolnych, jak i przemysłowych, którzy na tych naradach mogliby udostępnić mało i średniorolnym chłopom cenne doświadczenia przodującej klasy robotniczej i budzić wśród nich potrzebę pracy zespołowej.

Masowy udział chłopów w zobowiązaniach produkcyjnych dla uczczenia Święta 1 Maja i Święta Ludowego świadczy o tym, że sprawa ta zaczyna nurtować i dojrzewać w świadomości pracującego chłopstwa. Trzeba tylko ten spontaniczny budzący się ruch ująć w trwałe formy organizacyjne w ramach Związku Samopomocy Chłopskiej.

Należy specjalną troską i opieką otoczyć na obecnym etapie Państwowe Gospodarstwa Rolne, podnosić stale poziom ich pracy, zapoznawać chłopów z jej wynikami, aby te gospodarstwa mogły się stać jak najszybciej wzorem wyższej, bo zespołowej i planowej gospodarki rolnej, wzorem promieniującym na otaczające gospodarstwa chłopskie. Trzeba również w większym stopniu niż to dziś czynimy kierować produkcją rolą gospodarstw chłopskich przy pomocy planowo zorganizowanej sieci zarówno zaopatrzenia wsi, jak i skupu rolnego oraz zakładów przemysłu przetwórczego. A przede wszystkim zmierzać do podniesienia towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, popierać przez politykę skupu, zaopatrzenia, przetworstwa ich intensyfikację i specjalizację.*

*) Ten temat omawiam szczegółowo w nr 3 „Przeglądu Spółdzielczego”, marzec, 1949 w art.: „Handel uspołeczniony czynnikiem postępu”.



Leopold Boron



Wiktor Szymonek



Wacław Świątkowski

Wiesław Jażdżyński

ŻYCIORYSY GÓRNIKÓW *)

Jest dziesiąty dzień marcowy. Rok 1903. „Duże, leniwe i flegmatycznie obracające się wskazówki na zegarze kopalnianym dowlekły się nareszcie do godz. 5.30 wieczorem, do końca szychty, której zarobek wynosił nie więcej, jak siedemdziesiąt pięć fenigów. 15-letni górnik — Wiktor Szymonek kończy 12-godzinny dzień pracy. Kończą go również czterej jego bracia Szymonowie, którzy, podobnie jak Wiktor, pracują ciężko na wyzwanie samych siebie i trojga młodszego rodzeństwa. Stary Szymonek — także górnik. Od lat nie żyje. Zginął pod ziemią. Nieraz, ki wypadek śmierci w tamtych latach, latach kapitalizmu, panowania obcego, przeważnie niemieckiego kapitału w śląskich kopalniach.

Równocześnie z nimi kończy przeraźliwie długi i męczący dzień pracy Jan Nowak, chłopski syn, który nawet słyszeć nie chciał o dalszym pozostaniu na roli. Nie widział szans. Natomiast spodziewał się, że po odrobieniu dniówki na kopalni znajdzie jeszcze dosyć czasu, aby uczyć się i pracować społecznie.

W ciemnych, źle oświetlonych i niedostatecznie wietrzonych sztolniach spotykali się Szymonowie — górnicy z ojca i dziada z Nowakami — młodymi chłopcami, których los wyrzucał z kurczących się parcel. Nowak — jak sam pisał — nie miał o świecie najmniejszego pojęcia, znał „tylko dwie w świecie szczytne osobistości, to jest: księdza i nauczyciela”. W kopalni poznał nową, przekształcającą życie wartość — pracę górnika.

Nie ma chyba życiorysu, w którym by nie podkreślał każdy pamiętnikarz, przywiązania do zawodu, do pracy górnika. „Od 6—14 roku uczęszczałem do szkoły na Krazowy — pisał Piotr Szyja — i kupiłem sobie zeszyt i rysowałem w nim kopalnie, szybiki, wózki do wydobywania węgla i do spuszczenia węgla i różnego materiału. A matce opowiadałem, że jak mi będzie 16 lat, to sobie poszukam pracy na kopalni, bo mam wielkie zamiłowanie w tym zawodzie...”. Także mój ojciec pracował na tej kopalni 45 lat“.

„Górnictwo podobało mi się dlatego, że górnik jest pierwszym robotnikiem na świecie. Żeby nie górnik: to by żadna fabryka,

ni żadna kolej nie mogła istnieć — dopowiada inny pamiętnikarz.

Nie łatwe jednak było życie robotnicze w tamtych latach. Zarówno dla Szymonów przedłużających tradycję rodzinnego zawodu, jak i Nowaków, zakładających dopiero dynastie górnicze. Wszyscy zjeżdżali pierwszy raz pod ziemię jako 14—15-letnie dzieci, choć trzeba było mieć lat 16. Za markę, lub rubla przerabiali usługowy organista, czy urzędnik gminy metrykę. Wszyscy kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt razy zmieniali miejsce pracy. Można by powiedzieć, że częstość wydaleni z pracy była tu w stosunku prostym do świadomości społecznej górnika. Im bardziej uświadomiony klasowo górnik, tym częściej słyszał z ust pełnomocnika kapitału: za mądrego jesteś — takich nam tu nie trzeba.

Wędrowali zatem od kopalni do kopalni Szymonowie, wędrował Nowak, Szyja i wszyscy dosłownie autorzy pamiętników. Zmieniali warsztaty pracy, wyzysku i niedostatku, w atmosferze nieustannego poszukiwania pracy rosło nie tylko braterstwo górnicze, rosła także świadomość klasowa.

Pierwsza wojna światowa. W luksusowej willi schodzą się nadsztygar, inspektor górniczy — obaj Niemcy, sztygarzy objazdowi, wierni służby kapitału, nie brak też niemieckiego pastora i polskiego proboszcza. I kiedy w przykopalnianych obozach giną setkami z głodu jeńcy rosyjscy, jugosłowiańscy i włoscy, wśród toastów pijani duchowni wraz z resztą śpiewają: „In der Heimat da gibst's ein Widersehn”. Dla proboszcza i sztygarów wysługujących się kapitałowi sztygarów ojczyzna jest tam, gdzie jest kapitał.

Scenę tę obserwuje Wiktor Szymonek i towarzysze. To właśnie wtedy powiada Szymonek: „Dopóki ustrój kapitalistyczny nie zostanie zmiesiony, to robotnik zawsze będzie ofiarą wyzysku, niewolniczą masą murzynów, oraz... dynamiczną siłą dla tych, którzy trzymają te masy w szponach”. Równocześnie żony robotników dostarczają jeńcom chleb, nie mają go przecież za dużo. Kiedy niebawem wybuchnie strajk, te same kobiety wzywać będą wahających się do solidarności, same będą wymierzać sprawiedliwość łamistrajkom.

Takie klótnie zdarzały się po wszech stałe. Wstrzymuję się jednak od ich opisów, wyznaczając sobie w tym wypadku pewną granicę.

Także zabójstwo lewiczowca Bąbasa i dwóch chłopaków było faktem i to nie wyjątkowym. Np. w innej wiosce, w rodzinie Polaków, na tle nierówności podziału majątkowego, troje ludzi zarabano w nocy siekierą. I tak co pewien czas i co wieś — to samo.

Czy takie wypadki oskarżają wieś? — I tak i nie. Człowiek przecież tak samo jak i rośliny: jakie ma warunki rozwoju — tak się rozwija i wyrasta. „Karłowatości” psychicznej (czy tylko psychicznej?) pomagała się utrwalenie modlitwa i nawoływanie z ambony o „chrześcijańską miłość bliźniego”, skoro uznawała i utwierdzała nędzę wsi, ciemnotę i uczyla relatywizm moralnego przez częste postępkę księży przeciwieństwo głośnym cnotom. Np. zabitego lewiczowca Bąbasa ksiądz nie pozwolił pochować na cmentarzu i o pomoc zwrócił się do policji. Ale gdyby zmarł zabójca, wtedy ksiądz (oczywiście za pieniądze) zaopiekowałby się jego zwłokami i duszą. To są znane każdemu prawdy. I to jest wielka przyczyna, że nawoływanie z ambony do „chrześcijańskiej miłości bliźniego” niewiele lub zgoła nie nie pomaga. Ale o tym Lichniak nie wspominał, jakkolwiek go to przy omawianiu „Ugorów” obawiały. Choćby dlatego, że pokazywał ten sam „medal” z jednej strony, należało go też i odwrócić.

Pod koniec wywodów nad „Ugorami” Lichniak domyśla się: „Obiektywna relacja Pogana miała, jak należy się domyśleć — jeden cel: oskarżenie systemu społecznego, który stworzył sytuację czyniącą z chłopów narzędzie najniższych instynktów i najprymitywniejszych popędów. Opis miał być jednocześnie protestem, wyzwaniem rzuconym w twarz twórcom ustroju, czyniącego z chłopów bandę łobuzów, karierowiczów i morderców” — I zaraz kontruje:

„Niestety, taka interpretacja opisu Pogana jest pozostawiona domysłowi pełnego dobrej woli czytelnika. Sama powieść, zespół przedstawionych w niej faktów i wydarzeń nie stwarza dostatecznych przesłanek do obiektywnej argumentacji, która by przekonała nas o słuszności naszych domysłów. Bo przecież i założenie studni i domysłowe założenia

Szymonek jest patriotą. Pragnie politycznej niepodległości narodu, ale równocześnie aż nadto dobrze rozumie, że walki o niepodległość nie można oddzielić od walki o sprawiedliwość społeczną, o zniszczenie kapitalizmu. Taka postawa przewija się poprzez wszystkie życiorysy. Niemal każdy z autorów brał udział w powstaniach śląskich, ale równocześnie każdy z nich rozumie, że walki z kapitalizmem. Paweł Gajowski opowiada o górnikach i innych robotnikach śląskich, którzy nie tylko walczyli z wojskiem niemieckim, ale równocześnie prowadzili ostrą walkę polityczną z fabrykantem Fitznerem i jego poplecznikiem — księdzem Swidrem. Dla proletariatu już u początków Polski przedwojennej jasne było, iż nie ma wolności narodowej bez wolności społecznej, że walka z Niemcami to równocześnie walka z kapitałem.

Doświadczenia okresu II Rzeczypospolitej prawdę tę całkowicie potwierdziły.

Jest rok 1933. Polska niepodległa, Górnik Leopold Boroń już od kilku lat nie ma pracy. Uznany za komunistę nie przyjmowany do żadnej pracy pisał rozpaczliwe prośby na wszystkie strony. Nawet do Prezydenta Rzeczypospolitej, powołując się na fakt, że był członkiem POW, brał udział w powstaniach śląskich i plebiscycie. Wszystko darł. W międzywojennej Polsce nie było pracy szczególnie dla tych, którzy ideę narodu raz na zawsze związali z ideą sprawiedliwości społecznej, z ideą walki z kapitalizmem.

„Był okres nieprzerwanych redukcji, turmusów i zamykania kopalń, jak również i obniżek płac — pisał Stanisław Świątkowski — „Wtedy klasa robotnicza w Polsce naprawdę do jakiejś poważniejszej walki nie była zdolna, dzięki rozbięciu na dziesiątki najrozmaitszych organizacji zawodowych, przeważnie burżuazyjnych... Cała walka — jeżeli to walka nazwać można — ograniczała się do obrony przed redukcją jak największej liczby swoich własnych członków kosztem Związków innej organizacji zawodowej. Przy tym wszystkim ofiarami stawali się przede wszystkim robotnicy najbardziej klasowo uświadomieni, jako najbardziej niewygodni...”

Właśnie dlatego Boroń Leopold — skazany został na długoletnią tułaczkę od kopalni do kopalni, mimo, że przecież Polska była „niepodległa”. W rzeczywistości dysponował nią jeszcze silny kapitał, ten sam w roku 1933 co i w r. 1903. Z tego powodu niewiele się

zmieniło w położeniu klasy robotniczej. Ta sama nędza, ta sama „psia dola”.

Boroń musi opuścić „wolną” ojczyznę. Zrezygnuje Boroń, jak cały proletariatus — nie posiadał, bo nie zdobył jeszcze w tamtych latach, ojczyzny. Pracował w Belgii.

„Gorąc na poziomie 1000 m, kurz zatyka krtani, parę razy wymiotuję, ręce mdleją, ogarnia słabość. To są skutki bezrobocia w Polsce. Smaruję kolana brenspyrutem, przeklinam na wszystkie świętości ustrój faszystowski w Polsce. Przeklinam faszystowski polski!” Słowa te wypowiedział Boroń jeszcze niejedną raz. Wtedy gdy kawał węgla rozpruła mu brzuch i wtedy gdy pozbawiony opieki lekarskiej, cierpiący na reumatyzm, będzie rąbał węgiel kłęcząc lub nawet leżąc. Uświadomił sobie wówczas coś więcej — miałowicie, że kapitalizm w swej istocie nie jest ani polski ani belgijski. Jest kosmopolityczny. Dosięga wszędzie, gdzie jest, pracującego człowieka. Wszędzie też przez pracującego człowieka solidarnie powinien być zwalczany.

Człowiek jest fragmentem historii. Nie można go poza nią ani zrozumieć, ani wyjaśnić. Życiorysy górników, życiorysy wyrabane kilofem nie przedstawiają dziejów wyizolowanych z historii indywidualu. Kilkaset stron, napisanych nieraz niewprawną w trzymaniu pióra ręką — to nie miały fragment historii polskiej klasy robotniczej. Świadectwo kształtowania się jej postaw wobec wolności politycznej i społecznej narodu i świata.

Jan Nowak — chłopski syn ma już za sobą 44 lata pracy w górnictwie. Chciałby osiągnąć 50 lat pracy. Dziś jest sztygarem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ma za sobą trudny okres walki z rodzinnym i międzynarodowym kapitałem. Wszedł z proletariatusu się wsi w klasę robotniczą, tak jak nieco później weszli w nią Pstrowski i Apryas, tak jak wchodzi w nią dziś dziesiątki tysięcy młodych chłopów. Dzięki Szymonkom, Borońom, Świątkowskim, Szyjom, Gajowskim i tylu innym, przestał oddzielać wolność polityczną narodu od wolności społecznej, to jest wolność od socjalizmu.

A wolność prawdziwą, którą realizuje klasa robotnicza, to nie jest tylko jej sprawa. I nawet nie tylko chłopstwa. Jest to sprawa wszystkich ludzi pracy. Dlatego każdemu człowiekowi pracy należałoby polecić do czytania owe życiorysy kilofem wyrabane,

Józef Pogan

„Krytyka miłująca... wrogów?”

Lichniak omówił w paru kolejnych numerach „Dziś i Jutro”, twórczość literacką pisarzy: Juliana Gałaja — „Mystkowie wioska mała”; Stanisława Piętkę — „Młodość Jasia Kunał”; „Nagi grom”, „Białowiejskie noce”, „Ucieczka z miejsc ukochanych”; Władysława Dunarowskiego — „Leżąc krzyżem”; „Ludzie spod miedzy; oraz moje „Ugóry” i „Cierpki owoc”.

Zasadniczo nie lubię odpowiadać krytykom i tym razem również pragnęłbym powstrzymać się od tego. Poczucie prawdy zmusza mnie jednak do zabrania głosu. I bynajmniej nie we własnej obronie — pomijam wszystkie wywody Lichniaka na temat mych literackich niedociągnięć, pragnę tylko wyjaśnić sens jego pomyłek, dotyczących spraw społecznych. Bo być może nie pomyłki, a wcale rozmyślne „mydlenie oczu” czytelnikom „Dziś i Jutro”. Tak więc czy owak — wymaga to wyjaśnienia. Z Lichniak w swych doświadczeniach nad moimi „Ugorami” nazywa trywialne przysłówki dziewcząt na weselu „przejaskrawieniem prawdy o wsi polskiej”, zaś zastrzeżenie lewiczowca Bąbasa i zabójstwo dwu chłopaków — jakimś „bezwzględny” przez mnie enuncjacjami” (ogłoszeniami, doniesieniami?)

Ze Lichniak nie zna życia przedwojennej wsi polskiej — temu się nie dziwię. Dziwię się natomiast, że zabiera głos o nieznanych sobie sprawach, próbując zatuszować publicznie prawdę społeczną. Owszem, dla czytelników katolickich „Dziś i Jutro”, docuczanych przez „Tygodnik Powszechny”, tak Lichniakowi robić wypada. Tylko jak można w takim razie uwierzyć w panegiryki o Lichniaku w „Dziś i Jutro”, gloryfikujące jego obiektywizm krytyczny i zapewniające czytelników o jego „sensu catholicus” i „miłującej krytyce”? Nie można w to uwierzyć i — trzeba nazwać Lichniaka oportunistą ulegającym polityce katolickiej opozycji. A że tak jest, przekonamy się na podstawie poniższych wyjaśnień.

Trywialne przysłówki dziewcząt na weselu nie są bynajmniej „przejaskrawieniem prawdy o wsi” — jak podaje Lichniak — a raczej niedomówieniem przeze mnie tej prawdy. Np. Honorka Kanarkowa (podając autentyczne nazwisko) w czasie śnieżycy zimowej narzekała przez jakiś czas: „Zasypało drogę do wsi, a ja się mam iść tam swaryć” (kłócić). Oczywiście tak tak i inne swarzą się często. Kłóca się np. zaszere dwie kobiety. Wokoło pełno ciekawych ludzi: starczy,

młodych i dzieci. Jedna z kłócących się trzyma za rękę dziesięcioletnią córkę, wskazuje na swe przyrodzenie i woła na tamtą: „Tu! tu! tu! k... twój k... wlecz ci cudzi!”

Takie klótnie zdarzały się po wszech stałe. Wstrzymuję się jednak od ich opisów, wyznaczając sobie w tym wypadku pewną granicę.

Także zabójstwo lewiczowca Bąbasa i dwóch chłopaków było faktem i to nie wyjątkowym. Np. w innej wiosce, w rodzinie Polaków, na tle nierówności podziału majątkowego, troje ludzi zarabano w nocy siekierą. I tak co pewien czas i co wieś — to samo.

Czy takie wypadki oskarżają wieś? — I tak i nie. Człowiek przecież tak samo jak i rośliny: jakie ma warunki rozwoju — tak się rozwija i wyrasta. „Karłowatości” psychicznej (czy tylko psychicznej?) pomagała się utrwalenie modlitwa i nawoływanie z ambony o „chrześcijańską miłość bliźniego”, skoro uznawała i utwierdzała nędzę wsi, ciemnotę i uczyla relatywizm moralnego przez częste postępkę księży przeciwieństwo głośnym cnotom. Np. zabitego lewiczowca Bąbasa ksiądz nie pozwolił pochować na cmentarzu i o pomoc zwrócił się do policji. Ale gdyby zmarł zabójca, wtedy ksiądz (oczywiście za pieniądze) zaopiekowałby się jego zwłokami i duszą. To są znane każdemu prawdy. I to jest wielka przyczyna, że nawoływanie z ambony do „chrześcijańskiej miłości bliźniego” niewiele lub zgoła nie nie pomaga. Ale o tym Lichniak nie wspominał, jakkolwiek go to przy omawianiu „Ugorów” obawiały. Choćby dlatego, że pokazywał ten sam „medal” z jednej strony, należało go też i odwrócić.

Pod koniec wywodów nad „Ugorami” Lichniak domyśla się: „Obiektywna relacja Pogana miała, jak należy się domyśleć — jeden cel: oskarżenie systemu społecznego, który stworzył sytuację czyniącą z chłopów narzędzie najniższych instynktów i najprymitywniejszych popędów. Opis miał być jednocześnie protestem, wyzwaniem rzuconym w twarz twórcom ustroju, czyniącego z chłopów bandę łobuzów, karierowiczów i morderców” — I zaraz kontruje:

„Niestety, taka interpretacja opisu Pogana jest pozostawiona domysłowi pełnego dobrej woli czytelnika. Sama powieść, zespół przedstawionych w niej faktów i wydarzeń nie stwarza dostatecznych przesłanek do obiektywnej argumentacji, która by przekonała nas o słuszności naszych domysłów. Bo przecież i założenie studni i domysłowe założenia

szkoły i wreszcie częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne przedstawiają system w niedostatek ciemnych barwach, aby usprawiedliwić ponurość Pogonowego opisu. Obrazki ściągania podatków, może i przekonujące, nie ratują sytuacji. Pogan zbyt powierzchownie obnaża społeczno-polityczne korzenie przedstawionych zjawisk, podkopując przez to wiarę w ich prawdę historyczną i w ich logiczne prawdopodobieństwo”.

Rozpatrzyć rzeczowo te trzy poruszone przez Lichniaka sprawy i niechaj jeden z nas w obliczu prawdy skapitułuje przed społeczeństwem.

Dziwne doprawdy, że Lichniak takim drobniactwem jak wybudowanie we wsi studni próbuje nieco wybielić kapitalistyczny ustrój społeczny. Lichniak opiera się na naiwnie na tym, że niby „władze przynaglały do budowy studni, a wieśniacy wzbranił się od tego”. Ale trzeźwo rozumując — to bynajmniej taki drobniactwo nie usprawiedliwia w niczym złego ustroju. Może go nawet jeszcze silniej obciąża, ukazując, jak wychowywał chłopów w nieświadomości i nędzy... że każda złotówka opłaty na budowę studni przerażała większość wieśniaków... Cokolwiek uświadomienie i majacy jako tako znośne warunki życia — wieśniacy i bez ingerencji władzy wybudowali studnię. Tej prawdzie tylko laik i dyktant spraw społecznych może zaprzeczyć. Zaprzecza też i Lichniak, bo ma w tym ukryty cel: fałszowanie prawdy.

To jedna „strona medalu”. Druga — że wybudowanie studni nie leżało tylko w samym interesie wiejskiej ludności. Woda potrzebna była również i władzom (np. dla gaszenia pożarów, dla przejeżdżającego wojska, dla przechodniów, letników itd.). Gdybyśmy opierali się na takich motywach jak Lichniak, musielibyśmy nazwać zelektryfikowanie jakieś miejscowości przez Niemców w czasie okupacji (a były takie wypadki) troską o ekonomiczny rozwój Polski! Albo nawodnienie pustynnych piaszków w Afryce troską Anglików o dobro niewolniczych Murzynów! E, panie Lichniaku! nabierz no pan jakiegoś rozsądku!

Dalej powiada Lichniak, że „była we wsi możliwość założenia szkoły”. Nie chce się spierać z nim o to, czy me opisy w „Ugorach” potwierdzają tę możliwość, czy też nie. Chodzi mi tylko o sprawę zasadniczą: czy ekonomiczna możliwość już całkowicie rozwiązuje sprawę, gdy brak właściwej klasowo inicjatywy i postępowego zrozumienia, a zatem i faktu realizacji? „Możliwość wybudowania

szkoły” przekształcała się właśnie pod patronatem księdza i jego slugusów w możliwość wybudowania kaplicy. I w tym właśnie odczytuje się ustrój, a nie tylko w samych warunkach ekonomicznych możliwości. Cóż z tego, że choćby wieś miała nawet możliwości dorobkowe, gdy zamiast je wykorzystywać ku postępowi społecznemu — wykorzystuje je dla uciemiężenia? Stoi kaplica, ksiądz mówi w niej o „psim obowiązku składania ofiar na kościół” (sic), zbiera datki „na potajemny cel”, (sic) a budowę szkoły paraliżuje się z roku na rok. Wynajęta w zwykłej chacie — „dragiem nadal podparta, a na widowni stu kilogramowy ksiądz” — jak pisała mi jedna z nauczycielek. Oczywiście, gdyby nie budowa kaplicy — może wybudowano by szkołę. No, ale tak „gdybanie” niczego nie dowodzi. Bo gdyby wieś nie była ciemna i biedna... gdyby władze zechciały... gdyby ksiądz nie przeciwdziałał... Znaczą „gdyby nie zły ustrój”. Po cóż go więc próbować wybielać?!

Także według Lichniaka „częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne nie przedstawiają systemu w należyście ciemnych barwach”. „Miłująca krytykę” wykretnego Lichniaka. Jego „sensu catholicus” wtedy dopiero kazaby ujawnić przedstawiony system w „ciemnych barwach”, gdyby np. wójt w każdej wsi wystawił szubienicę na chłopów, a ksiądz odmawiał skazańcom „ostatniej pociechy”, tak jak odmówił chrześcijańskiego pogrzebu zabitemu lewiczowcowi, Bąbasowi. Śmiech zbiera na takie naiwne wywody Lichniaka, bo przecież nawet „nie miłująca” krytyka, bez owego „sensu catholicus” wie dobrze, że ustrój gminny był od tego, aby coś robił i choć na odczepne coś „nieokrzesanym chamom” uwzględnił. Przecież sama taktyka rządzenia nakazywała przysługiwać władzom pogardę do chłopów, odgórne zarządzania wołały perfidnie: „Frontem do wsi!!!”

Reasumując, ja według Lichniaka, „powierzchnym obnażaniem” społeczno-politycznych korzeni przedstawionych zjawisk podkopuję wiarę w ich prawdę historyczną? To właśnie Lichniak swą interpretacją próbuje podkopywać prawdę o przedwojennym ucisku wsi. Wiadomo, dlaczego robi ten wykretny manewr: nie chce uderzać w dzisiejszy ustrój — uderza w prawdę dawnego ustroju, chcąc go cośkolwiek wybielić. Próba ta wydadtania się poprzez wszystkie wyż. wym. artykuły krytyczne. Te jego postawy ideologiczne można określić krótko: „miłująca krytyka” musi robić na złość obecnej rzeczywistości. Ale ten — „sensu catholicus” antymarxismus est.

Marian Nowakowski

Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych

Dotyychczas sprawa wyższych studiów korespondencyjnych zajmuje się tylko „Wiś”. Wydaje się, że te zagadnienia są tak powszechnie ważne, iż wiele innych czasopism, a głównie te, co obsługują najdalsze zakamarki terenu, winny się nimi zająć. Tego nie widać, więc tym większa zasługa, moim zdaniem, „Wiś”. Bo sprawa jest naprawdę ważna i pilna. Przecież nas jeszcze nie stać na luksus i nie będzie nas jeszcze długo stać na to. Ludzie, zwłaszcza młodzi i już do pracy zawodowej przygotowani — powinni pracować. Ale nie wolno im za ich pracę odmawiać prawa do studiów. To chyba ważniejsza będzie „studenci”, bo swą pracę zawodową przy równoczesnym uczeniu się splacają obficie „należność” wobec Państwa Ludowego i społeczeństwa demokratycznego dług za umożliwienie im dalszego uczenia się.

Ob. Krupa w 26 nr. „Wiś” podkreśla znaczenie tego sposobu studiowania ze stanowiska terenowego, oderwanego dziesiątkami kilometrów od ośrodków, posiadających wyższe uczelnie. Wywody jego są słuszne i całkowicie uzasadnione, a myślę, że tysiące je mu podobnych podpisze się pod jego artykułem bez zastrzeżeń. Lecz sprawa ta ma szerszy zasięg, dlatego nie można jej brać jednostronnie. Dotyczy ona nie tylko tych ludzi, którzy poszli do pracy na tereny wiejskie, czy małopolskie, ale dotyczy nawet i tych, którzy tuż pod bokiem wyższych uczelni muszą pełnić funkcje zawodowe czy społeczne i nie są w stanie korzystać normalnie z całego systemu studiów wyższych.

Jako pracownik administracyjny jednej z wyższych uczelni widzę oto takie rzeczy:

Zdobycze naszego Państwa Ludowego na polu oświaty są olbrzymie — udogodnienia takie, o których poprzednio nikomu się nawet nie śniło. System stypendialny rozwija się coraz lepiej i obejmuje swym zasięgiem coraz liczniejsze szeregi, studiującej młodzieży. Ale przy tym, wszystkim jest dużo i jakże bardzo dużo takich, którzy jeszcze muszą chwycić się różnych prac zarobkowych, aby przebrnąć lata studiów. Zresztą te ich prace są również nader pożyteczne dla społeczeństwa. Tylko że prace te są uregulowane pewnym porządkiem, zwłaszcza prace biurowe, i trudno żądać, ażeby uczelnie wyższe stosowały swoje urządzenia do potrzeb prac biurowych. Dlatego wielu pracujących zawodowo i zarazem studiujących w miastach, gdzie są wyższe uczelnie, prócz umiędzczenia niewiele ze studiów mogą wynieść.

Bo pomyślcie:

Pracuje ktoś w jakimś biurze od 8 do 15 i tykawszy zakupi w stołówce, pędzi na wykłady czy inne zajęcia, gdzie śleczy do godz. 20 czy nawet 22. Co on z tego ma? Co ma z tak wymiętoszonego człowieka praca zawodowa czy instytucja, w której pracuje i chce pracować? Czyż nie lepiej byłoby dlań i dla jego pracy zawodowej pójść po godz. 15 do domu, wziąć do ręki dobrze zredagowany skrypt, czy należycie wskazaną literaturę i w spokoju, bez zaburzenia, popracować nad sobą będąc przekonanym, że zawsze ma możliwość zwrócić się do odpowiedniej instytucji, która udzieli mu potrzebnych wyjaśnień i zaopiekuje się każdą jego bledą w czasie studiów? Ja myślę, że lepiej i to lepiej tak dla niego jak i dla jego pracy zawodowej, a więc dla całego społeczeństwa.

Poruszam to jako zagadnienie i to ważne zagadnienie, bo do tej pory w dyskusji nad tymi sprawami zagadnienie to nie było poruszone. Studia korespondencyjne tylko „dla terenu”, a ja myślę, że dla ludzi pracujących i chcących się uczyć bez względu „na teren”.

Zdaje mi się, że tu ani urzędy, ani pojedyncze osoby niewiele pomogą. Tu potrzeba zainteresowania się jakiejś masowej organizacji społecznej, a najbardziej nadająca się na to to chyba Związek Młodzieży Polskiej. Przecież prowadzi już od paru lat studia korespondencyjne na poziomie średnim i wiem, że z dobrymi wynikami, więc chyba dalsza rozbudowa nie przedstawiałaby specjalnych trudności. Jest to tym bardziej sprawa Związku Młodzieżowego, że na pewno większość uczestników to będą jego członkowie, a ponadto taka właśnie organizacja może zagwarantować należyty kierunek i poziom ideowy tego rodzaju studiów. W prasie związkowej głucho jednak na ten temat. Przecież istnieje ZAMP, a czyż to nie piękne pole do pracy dla tej organizacji?

Teren czeka, teren pragnie tych studiów, ale przecież ten rozległy teren nie zdoła ich zorganizować i poprowadzić. Czekamy na rzetelną odpowiedź.

Któż mu uwierzy?

W ostatnim numerze katolickiego miesięcznika „Znak” zamieścił ks. Wincenty Kwiatkowski pokazy artykuł pt. „Experimentum fidei”, którego znaczną część poświęca na wmawianie czytelnikowi, że materializm jest przewyższony i to właśnie na gruncie współczesnej fizyki, gdzie w ogóle należy do archaicznych, zamierzchłych zabytków.

Osobiście pojmuję skutki podobnych sugestii, wiem czemu i komu służą, ale zdumiony jestem, jak to niby można z mechaniki kwantowej wyprowadzić dowód na istnienie Boga. Operacja to raczej szczególna i obliczona przede wszystkim na łatwowierność czytelników. Zastrasza się ich nazwiskami wielkich z pewnością fizyków, niestety usiłujących poza tym uprawiać z gorszym nieco powodzeniem mistykę i jakąś pseudontologię.

„Przeciw materializmowi” — woła ks. Kwiatkowski — „wystąpił” wraz z Planckiem słynny astronom z Cambridge, Artur Stanley Eddington i w odczytaniu wygłoszonym w roku 1929 pt. „Die Naturwissenschaft und die Welt des Unsichtbaren” występuje w obronę religijno-idealnego ujęcia rzeczywistości — kosmosu. A znowu Jeans, profesor uniwersytetu w Cambridge pisze, że obecnie fizycy są zgodni w tym, iż wszechświat przedstawia się raczej jako wielki umysł, niż jako maszyna i że duch w obrębie materii nie jest żadnym przypadkowym wtrętem, lecz przejawem, że należy powitać go jako twórcę matematyki”. Mimowoli przypominają się słowa Chwistka z „Granic nauki”: „kiedy komediopisarz Bruno Winawer szedł z filozofów przeciwstawiając im przedstawicieli nauk ścisłych, jako twórców nowych form życia na ziemi, to nie liczył się z tym faktem, że właśnie ci wielcy uczeni kora się przed filozofami i pragną za wszelką cenę pozować na mędrców odkrywających kamień filozoficzny. Tak było, dopóki nie przeczytał popularnych wykładów twórcy teorii falowej, Schrödingera. Przeczytał je i ułask się morza, nieodpowiedzialnych frazesów i tępych alegorii, zestawiających współczesną fizykę z tzw. nową rzeczywistością w sztuce, a elektron z poszczególnymi jednostkami ludzkimi”.

A te właśnie „nieodpowiedzialne frazesy i tepe alegorie” propaguje pod maską nauk przyrodniczych ks. Kwiatkowski. Któż mu uwierzy?

A. M.

Też obrona kultury zachodniej

W ostatnich dniach ogłosiła sprawozdanie ze swej działalności wyznaczona przez rząd brytyjski Królewska Komisja do Badania Stanu Załudnienia na terenie imperium brytyjskiego. Komisja pracowała długo i żmudnie — i po tych długich i żmudnych pracach ogłosiła, że ze względów „strategicznych i politycznych” należy powiększyć liczbę urodzin wśród klas wyższych, natomiast ograniczyć liczbę urodzin w klasie robotniczej. Zalecano przy tym zmniejszenie podatków rodzinnych dla rodzin, posiadających



duże dochody — dlatego przede wszystkim, że wychowanie dzieci w klasach wyższych jest bardzo kosztowne. Czy nie jest to słuszny wniosek? Należy przecież dbać o czystość rasy panów — by ułatwić im „misję” gnębienia klasy robotniczej i narodów kolonialnych.

Przez te akcje populacyjne — sądzi komisja — dostarczy się Anglii w „odpowiedniej ilości obrońców cywilizacji zachodniej”. Czy ktoś może wątpić, że raport Królewskiej Komisji ma charakter „demokratyczny” i „socjalistyczny”? „Socjalistyczny” Bevin na pewno mu przyklasnie — i uzna go za niezbędny element „paktu atlantyckiego”.

Ale gdyby Goebbels słyszał ten raport, zatarłby ręce z radości.

M. N.

Czyżby?

Biuletyn ambasady amerykańskiej (Nr 22) z widoczną satysfakcją zamieszcza fragmenty przemówienia p. dr. Ralpa Bunche'a na temat położenia Murzynów w USA.

FAKTY i ZDANIA

„Chociaż nic nie jest łatwe dla Murzyna w Ameryce, to jednak nie ma rzeczy dla niego niemożliwych do osiągnięcia. Przegrady, jakie stwarza rasa, są groźne, lecz mogą być przewyżnione. W rzeczywistości cała historia Murzynów w tym kraju daje nam przykłady stałego, nieugiętego postępu w przewyżnianiu tych barier” — oświadczył p. Ralph Bunche.

Czyżby? Cała historia Murzynów pokazuje zupełnie co innego. Wszystko jest możliwe? To w takim razie dlaczego tak się dzieje, że w Stanach Zjednoczonych na każdy 1000 mieszkańców przypada 100 Murzynów, ale na każdy 1000 wyborców tylko 8 Murzynów?

Jeżeli wspomniany Biuletyn pragnie rzeczywiście informować polskiego czytelnika o sytuacji Murzynów, powinien powoływać się na bardziej autorytatywne wypowiedzi. Np. prezydenta Trumana, który dosłownie powiedział: „Godność Murzynów wciąż jeszcze szargają, obrażając ich obelgami. Poniżają ją strach i terror. Żyją oni — muszą to niestety przyznać — pod groźbą linczu i gwałtu ze strony motłochu”.

Albo jeszcze lepiej byłoby zapoznać naszego czytelnika z książką senatora Bilbo zatytułowaną wymownie: „Wybierając między rozdzielaniem lub zmieszaniem się ras”. W której ów senator pisze: „Stare, aryjskie cywilizacje Egiptu, Indii, Fenicji, Grecji i Rzymu zginęły, bo rasa rządząca zmieszała się z niepełnocennymi rasami. Trzeba wyrzucić wszystkich kolorowych ludzi z USA, bo inaczej Stany Zjednoczone zginą...” No bo „Mein Kampf” cytować — to mimo wszystko nie wypada.

J. S.

Podwójny doktor honoris causae

Angielski świat naukowy liściem swojego szacunku przyozdobił ostatnio głowę... Churchill. Oczywiście nie bez racji, uniwersytet w Liverpoolu nadał Churchillowi tytuł doktora honoris causae. Zastugi jego są tu nie małe. Czyż swoją praktyczną działalnością



polityczną, w której z niesłychaną konsekwencją manifestowała się zawsze jego wroga postawa wobec sił postępu i sprawiedliwości społecznej — nie stanowił niejednokrotnie ożywczych źródeł dla teoretycznej myśli burżuazyjnych naukowców? Wyraz uznania od tej strony są zupełnie na miejscu. Lud jednak też pamiętał o uczczeniu „opatrznościowego meża”. Dali temu wyraz mieszkańcy Liverpoolu zebrani na wiecu w dniu wręczenia przez władze uniwersyteckie doktoratu honorowego dyplomu. Na wiecu tym robotnicy uchwaliли obdarzyć Churchilla tytułem od siebie. Odnośna formuła listu brzmiała: „My, prawdziwi przedstawiciele miłującego pokój narodu, nadajemy panu tytuł doktora wojen, magistra ucisku i członka towarzystwa naukowego reakcji światowej” (podkreślenie nasze).

M. K.

O bezrobotnych i dobrym wychowaniu

Mija już piąty miesiąc od czasu, jak rozpoczął swe prace 81-szy z kolei Kongres Stanów Zjednoczonych. Jakimi osiągnięciami może się Kongres pochwalić?

Czy dusząca ruch robotniczy ustawa Tafa-Hartleya została zniesiona? — Nie. Ciężary podatkowe zmniejszone? — Nie. Wydatki wojenne uszczuplone? Także nie. Więcej może zrudniono bezrobotnych? Skądże! Liczba ich wzrosła i dosięga obecnie 4 miliony.

Wciąż co właściwie Kongres zdziałał? A zdziałal i to nawet bardzo dużo. Zatwierdził mianowicie wydatki na organizację sieci szpiegowskiej w krajach demokracji ludowej i Związku Radzieckim. Zatwierdził także sposoby wywołania zwykłej ceny dolara, przy równoczesnej dewaluacji funta angielskiego i franka.

Czy to wszystko? Jest jeszcze jeden bardzo ważny dekret kongresowy, a właściwie kodeks dobrego wychowania, skierowany pod adresem 89 nowych kongresmanów, którzy okazali bardzo kiepskie manery.

„Nie pal pod pulpitem, nie trzymaj w zębach zgazowanego papierosa, fajki lub cygara. Nie kładź nóg na oparciu fotela, nie spaceruj pod nosem przemawiającego kolegi. Nie czytaj gazet podczas posiedzenia. Nie wywołuj głośno posłów po imieniu” — oto tekst kodeksu, nad którym radził 81 Kongres Stanów Zjednoczonych.

I chociaż na posiedzeniu poświęconym sprawom dobrego wychowania było tylko 40 spośród 435 kongresmanów, to jednak uważa się je za jedno z najbardziej owocnych.

D. P.

Związek Katolickich przedsiębiorców

W 25 numerze „Tygodnika Powszechnego” w dziale „Kroniki religijnej” czytamy: „Związek Katolickich Przedsiębiorców”. — W encyklice „Quadragesimo anno” zrobił Pius XI ka-

tolickim przemysłowcom zarzut, że się nie mogą zdobyć na utworzenie własnego związku, gdy katolicy robotnicy w wielu krajach rozwinęli szeroko swoje własne organizacje. W tym czasie istotnie były związki katolickich przedsiębiorców tylko — zdaje się — w Holandii i we Francji. Po ostatniej wojnie powstały także w Belgii, a ostatnio w zachodnich Niemczech pod wpływem arcybiskupa Kolonii, kard. Fringsa. Konstytucyjne zebranie Związku (Bund Katholischer Unternehmer) odbyło się w Düsseldorfie. Prezesem został wybrany gen. dyrektor zakładu Glatzstoff-Courdauls, Franciszek Greis. Przyjęto statut, który stwierdza, że Bund nie jest organizacją gospodarczą ani zawodową; „jego celem właściwym jest współpraca nad realizacją ustroju społecznego, według zasad encyklik”. W obronie Bundu (w odpowiedzi na ataki socjalistów — dop. nasz) wystąpił katolicki działacz robotniczy Józef Gockel, który podniósł, że to właśnie katolicy robotnicy przyczynili się do jego powstania, uważając, że współpraca robotników z przemysłowcami przyspieszy realizację ustroju „stanowo-zawodowego”, korporacyjnego, zaleconego przez Piusa XI i Piusa XII.

Ciekawe, ciekawe... jak żyją i pracują robotnicy w fabrykach, które w 50 i więcej proc. zależą od przedsiębiorców najbardziej katolickich — bo watykańskich? Dziwna... „Kronika religijna” Tygodnika Powszechnego, właśnie po niedawnym Kongresie Związków Zawodowych...

A może by tak, kronikarzu „Tygodnika”, w następnej „kronice religijnej” poruszyć takie ciekawe „religijne” historie, jak powiązanie kapitału watykańskiego z amerykańskim np?

Kto rządzi w Grecji?

W Grecji — jak wiadomo — panuje młody król Paweł spowinowacony z niemiecką dynastią Hohenzollernów. Imię króla Pawła figuruje oficjalnie na sztylśle monarchii greckiej. Ale za królem Pawłem stoi amerykański ambasador Grady. Ambasador amerykański jest oczywiście żonaty. I otóż żona ambasadora Grady'ego oświadczyła przed niedawnym czasem w wywiadzie udzielonym londyńskiemu „Sunday Dispatch”, że Grecja jest po prostu forpoczta Ameryki, która ma tu wielkie wpływy. I jeszcze dodaje, że Grecja powinna i musi się odrodzić w duchu amerykańskim. I tyle.



Kto więc panuje w Grecji „miłośniczku”? Czy król Paweł? Bardzo wątpliwe. Na pewno zaś panuje ambasador amerykański w imieniu „monarchów” Wall-Street. R. W.

Literaci — piszcie!

Bardzo często w wiejskich kołach ZMP-owskich urządziła się przedstawienia teatralne, które właściwie zamiast kształtować świadomość społeczną chłopów powodują co najwyżej trochę pustego śmiechu.

Owszem, ludzie pośmieją się, powiedzą sobie, że niby ten golarz dobrze pędzłem od wapna omascił mydłem twarz klienta, albo, że to śmieszne, iż jakiś tam gość przyjechał w beczce, to znów jakaś tam kowalowa oszukała diabła itd.

Tak więc w bardzo wielu wypadkach te „szmiry” brukowe, nie przedstawiające żadnego waloru kulturalno-oświatowego cieszą się powodzeniem. Cieszą się powodzeniem, ponieważ innego repertuaru brak. Wiś bardzo jeszcze często pozbawiona jest naprawde utworów scenicznych. Gdy członek koła ZMP pójdzie do księgarni w celu kupienia jakiegos utworu, okazuje się po prostu, że są tam jakieś bezwartościowe społecznie utwory sceniczne, albo znów takie, że wieś nie może ich grać z powodu braku kostiumów, dla wyfraczonych hrabiów lub bogaczy amerykańskich. Szycie odpowiednich kostiumów pochłonieby duże sumy. Jeśli znajdzie młodzież wiejska odpowiednią sztukę, wypożycza ją sobie od koła do koła, co oczywiście wpływa hamująco na pracę amatorskich zespołów teatralnych.

Dla wsi, dla młodzieży wiejskiej zrzeszonej w kołach ZMP trzeba dać repertuar przystępny, nietrudny do wykonania pod względem technicznym, który by w formie artystycznej dał to, co się dzieje w gospodarce. Dlatego pisząc te parę słów, apeluję do pisarzy polskich, żeby pomyśleli o repertuarze wiejskim. Literaci! Piszcie! Aby młodzież wiejska nie wyciągała starych szkodliwych społecznie „szmir”. Słowa te skreślił drobny chłop — na odpowiedź czekają was miliony!

Biecki Jan

wieś Dęba, pta Kurów Lubelski pow. Puławy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2

D-01757